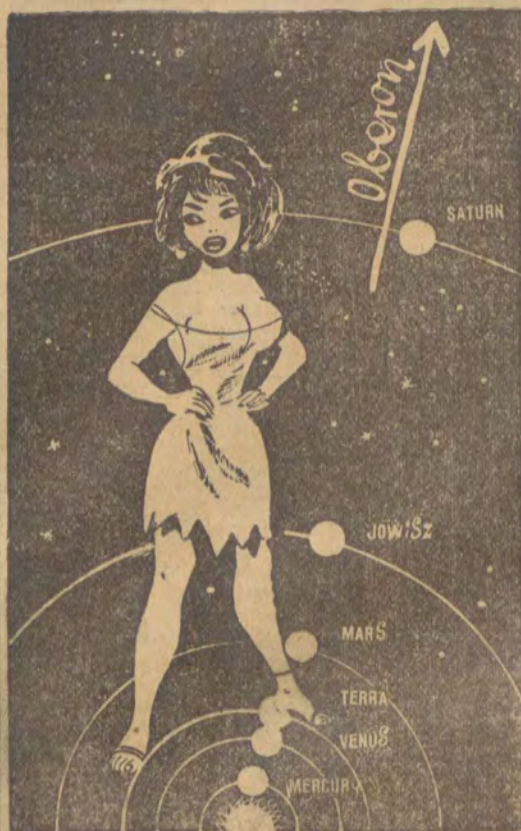


ZA TYDZIEŃ:
Nowa powieść astronautyczna



Jeśli chcesz poznać tajemnice skarbów, ukrytych na odległych planetach —
Jeśli wierzysz, że jutro odleciemy na podbój wszechświata —
Jeśli chcesz wziąć udział w przygodach pilotów międzyplanetarnych —
Jeśli chcesz się dowiedzieć, czy na planetach układu słonecznego żyją istoty, podobne do ludzi —
Jeśli czytałeś „Mglawicę Andromedy“ —
Jeśli nie czytałeś „Mglawicy Andromedy“ —
będziesz czytał „Skarb na Oberonie“.



— Pudełko moje, tobie.
Nort odwrócił się. Malutka blondynka w krótkiej, białej sukience z jedwabiu syntetycznego z przerażeniem wrywała palce w dłońi wzbogaczonego właściciela. Cóż, ten świat ma swój sposób. Ktoś przetrząsał kieszonki. Rozkaszany wiołozęca wyrwał z kabury pistolet atomowy. — Zabijcie! — ochryple zakomando. — Zabijcie bez wahania rzucił się pod nogi rozszepconego mężczyzny. Usłyszał jeszcze suchy trzask pistoletu atomowego.



To nie byli ludzie i nie mieli na sobie skafandrów ochronnych. To były potworne wytwory tego piekielnego księżycy, skradające się aby na nich napaść. Istoty te były czworonożne i przypominały duże pawiany. Ciała ich świeciły dziwnym, metalicznym blaskiem. Ale przecież nie cieleśnie nie mogłyby nawet przez chwilę istnieć w tym spopielającym żarze...

SKARB na OBERONIE

TYGODNIK
ŁÓDZKI

Rok II
Łódź 31 maja
1959 roku

Nr
22 (66)

cena
1 zł

odgłosy



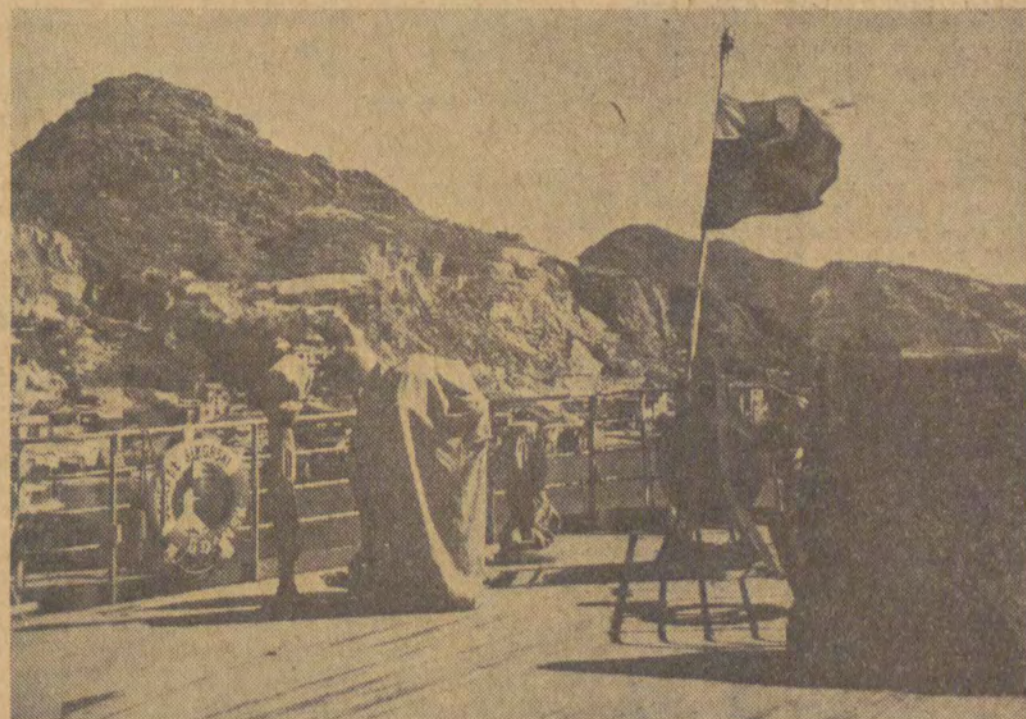
SKAZANI na siebie

Bez importu żywności cała ludność Japonii umarłaby z głodu w ciągu jednego roku. Ryż sprzedaje Syjam, ale Syjam potrzebuje dużo papieru, który można kupić w Polsce. Somali Francuskie pragnie dostać sporo kwasu solnego, Sudan sprzedaje bawełnę, Kauczuk, który chcą sprzedać Malaje, ochętnie kupią Niemcy. Każdy na świecie ma coś do sprzedania, każdy chce coś kupić. Tak toczy się świat, jak powiedział pewien dowcipny pan. Dlatego właśnie po wszystkich oceanach świata pływają tysiące statków. Dlatego także pływa „M/S General Sikorski“.

Przepraszam. Nie przedstawiłem głównego bohatera. „Sikorski“ to polski statek handlowy. Waży 10 tysięcy ton i może załadować do swych ładowni drugie tyle. Płyne z szybkością 16—18 mil na godzinę. Ma prawie 20 metrów wysokości (z tego połowa schowana jest pod wodą) i około 160 metrów długości. Maszyny? Lepiej nie mówić. Czy wiecie, jak potworny jazgot wydaje dzień i noc pracując 8.000 koni mechanicznych? A wszystkie silniki pomocnicze?

Na statku dużo się klinie. Prawie wszyscy przysięgają, że w następny rejs sam Neptun ich nie wyciągnie. Żeby nawet gromy i pioruny, to nie wejdą drugi raz na to piekielne pudło. Ale narzekać na statek nie wolno. Jest takie powiedzonko:
— Nie narzekaj, bo cała Polska ci zazdrości.

Zostałem i ja jednym ze szczęśliwców. Lekarze skłuli mnie już wszelką ospą, dżu-



Polska bandera na tle Hong-Kongu.

ma i cholerą. W kieszeni mam oprawną w zielone płótno, wypisaną w trzech językach „Książeczkę Żeglarską nr 7931 dla załóg statków uprawiających żeglugę międzynarodową“.

Była jesień ubiegłego roku. Raczej chłodnawo. Biegałem po sklepach i kupowałem sandały, płócienne spodnie, letnie koszule. Ekspedienci patrzyli na mnie, jak na wariata. „Takie bubble w ta pora — laskawco?“ — sprzedawca, warszawski

Smierć w rakiecie międzyplanetarnej! Pogoń za dziewczyną i pogoń za złotem! Skarb w kraterze wrzącego wulkanu! Obląkany pilotuje raketę! Strzelanina w Księżycowym Mieście! — to wszystko znajdziecie w opowieści

E. Hamiltona
„SKARB na OBERONIE“



Puchatek — str. 10

rodak — patrzył na mnie podejrzliwie...

— A cóż to — oburzyłem się jakby głobtrotterka po całej kuli ziemskiej była dla mnie czymś zwykłym i powszednim — do ciepłych krajów jechać nie wolno czy jak...

Wreszcie miałem jednak to wszystko poza sobą. Wkraczałem na zadarty do góry trap. Czarna tablica fachowym językiem obwieszczała: „Statek na wyjściu w morze. Załoga ma burcie,

godz. 22“. Wyszliśmy jednak dopiero nazajutrz w południe. Co przyniesie mi z sobą ta podróż? Na razie byłem

Dokończenie
na str.
2 i 3

JACEK LEBEN

Genewa między optymizmem a pesymizmem

Mimo, że to maj, w Genewie króluje wszechwładnie marcową pogodą dyplomatyczna. Prawie tysiąc dziennikarzy czyhających na każde słowo, które przeniknie na zewnątrz z Pałacu Narodów, miota się od opinii do opinii, od ponurego pesymizmu do ostrożnego optymizmu.

Spśród tych zmiennych prognoz i przepowiedni wyłuskać należy jakieś realistyczne jądro. Wydaje się, że punktem wyjścia do „genewskich rozważań” może być ocena dążeń i taktyki poszczególnych mocarstw Zachodu, które przed konferencją szczególnie głośno zapewniały o jedności, a wśród których w samej Genewie doszło do poważnych rozbieżności.

Zaczęło się od tego, że Zachód przedstawił na konferencji swój „pakiet propozycji”, dotyczący rozwiązania problemu niemieckiego. Ów

pakiet to chyba najbardziej skomplikowany dokument polityczny ostatnich czasów. Wiąże on w nierozdzielnej całości wszystkie problemy niemieckie. Np. zgodę na dyskusję na temat zamrożenia pulapu zbrojeń w środkowej Europie Zachód uzależnia od takiego załatwienia sprawy Berlina, które by doprowadziło do umiędzynarodowienia całego Berlina i wyrwało by spod kontroli NRD dzisiejszą stolicę tego państwa — Berlin Wschodni. Torpeduje się w ten sposób, oczywiście, sprawę strefy zamrożonych zbrojeń, co do której prawdopodobnie byłoby najłatwiej osiągnąć porozumienie między Wschodem i Zachodem. Jedyne realne wyzwanie się być stanowisko ZSRR, który głosi, że skomplikowane problemy międzynarodowe rozwiązywać trzeba kolejno poczynając od najłatwiejszych do rozwiązania.

Druga słabość zachodniego pakietu polega na tym, że jest on po prostu nie do przyjęcia dla Związku Radzieckiego, że nie stwarza nawet podstaw do rozsądnej dyskusji nad problemem niemieckim. W mgiełce pozornych ustępstw kryją się dwa realia. Zachód obstaje nadal przy wolnych wyborach jako sposobie zjednoczenia Niemiec, co oznacza, jak wiadomo, wchłonięcie NRD przez NRF, i dalej upiera się przy tym, by zjednoczone Niemcy miały prawo wyboru sojuszników wojskowych, czyli faktycznie nie obchodzi go przyjęcie do Związku Radzieckiego. Dostrzega to nawet organ amerykańskiej finansjery „Wall Street Journal”, który pisze: „W rzeczywistości nikt nie oczekuje jakichś doniosłych porozumień, szczególnie w sprawie zjednoczenia Niemiec. Z trudem można sobie wyobrazić, aby ZSRR zaakceptował zachodni pakiet propozycji... Nie więc dziwnego, że sukces Genewy zależy w dużej

mierze od tego, czy Zachód rozpakuje swój pakiet, czy zrezygnuje z zasady „wszystko albo nic” i zgodzi się na dyskusję i na ewentualne załatwienie poszczególnych fragmentów problemu niemieckiego.

W zeszłym tygodniu rzecznik delegacji amerykańskiej Berding oświadczył wprawdzie na konferencji prasowej, że mocarstwa zachodnie gotowe są wyłączyć ewentualnie problem Berlina ze swojego pakietu propozycji, ale potem, po oburzonych głosach Francuzów i przedstawicieli NRF zdemontował to oświadczenie. Panuje jednak powszechne przekonanie, że był to próbnny balon i że Zachód już teraz jest gotów do wyłączenia problemu Berlina z całości pakietu.

Oto cytaty z „Neue Rhein Zeitung”: „Jest to gra na zwłokę. Wschód i Zachód wiedzą dokładnie, że obecna wymiana poglądów nie posuwa sprawy ani na krok naprzód. Demonstruje to całkowicie jawnie minister Selwyn Lloyd ucinający sobie od czasu do czasu drzemkę w sali konferencyjnej. W ten sposób Zachód pragnie

dać do zrozumienia Związkowi Radzieckiemu, iż ma co najmniej tyle czasu, co on, na co delegacja radziecka odpowiedziała przedłużeniem abonamentu bezpośredniego kabla do Moskwy do 8 lipca.”

Jednym słowem wojna nerwów, ale z tego nie najbardziej groźnego gatunku. Wojna nerwów, która szczególnie daje o sobie znać w czasie oficjalnych posiedzeń, ale uchyla ponoc w czasie obiadów, śniadań i kolacji, w czasie poufnych spotkań, które są drugim i chyba zasadniczym nurtem Genewy.

Ewentualne porozumienie między Zachodem a ZSRR opierałoby się według dyplomatycznych źródeł genewskich na następujących założeniach:

— prawa Zachodu w Berlinie Zachodnim pozostają nienaruszone;

— mocarstwa zachodnie wyrażają zgodę na traktowanie funkcjonariuszy wschodniemieckich, kontrolujących drogi do Berlina, jako występujących w imieniu władz radzieckich;

— ZSRR winien zagwarantować nieograniczone prawo dostępu Zachodu do

Berlina, jakkolwiek Zachód porozumiewałby się codziennie z władzami wschodniemieckimi w sprawie formalności przejazdu;

— Zachód wyraziłby zgodę na zmniejszenie swych garnizonów w Berlinie Zachodnim;

— Zachód ograniczyłby audycje radiowe w Berlinie Zachodnim, stanowiące agresywną propagandę przeciwko NRD;

— W Berlinie zostałyby zainstalowane placówki ONZ, które kontrolowałyby wykonywanie porozumienia.

Tego rodzaju układ byłby oczywiście układem tymczasowym.

Oczywiście wszelkie przepowiednie na temat Genewy to pisanie palcem na wodzie. Jestem jednak skłonny sądzić, że jednym przedmiotem ograniczonego porozumienia stanie się problem berliński. Dyskusja nad pozostałymi problemami stanowi jedynie tło i toczy się raczej z uwagi na wadliwość. Wszyscy, zarówno scenarzyści, aktorzy, jak i widzowie genewskiego przedstawienia oczekują bowiem konferencji na szczycie.

Nasza szkoła

KTO ZACZ — „fałszywi humaniści”?

Wrocławski Tygodnik Katolicki — owe ukazujące się w Warszawie, „wrocławskie”, paxowskie „Kulisy”, tenże sam WTK, co ostatnio napadł tak bojowo na redaktora „Odgłosów” za to, iż ten nawoływał, o groźno publicznie, by nie tylko PAX sprawował w Łodzi literacki mecenat (a jeszcze swe wołanie przekuł w czynów brzęczącą monetę), ówże WTK, którego tak rozżołościło ogłoszenie nagród „Odgłosów”, jakby rzeczywiście społeczny pieniąż był tu wywalany tylko po to, żeby PAX-owi zrobić na złość, tenże WTK co najbojowszym jest PAX-u organem — prowadzi stałą rubrykę pt. „Paragraf i Życie”. Pisze w niej Jerzy Milewski i to wcale ciekawie. To znaczy ciekawie relacjonuje różne procesowo-kryminalne historyjki, przydając im rozmaite komentarze umoralniające, mniej już ciekawe w swej treści, ciekawe zaś jako nowatorska forma „kryminalnego” kaznodzieistwa.

Ostatnio Milewski opowiedział przedwojenną historyjkę z wyższych sfer, będącą opowieścią o wypadku bezbolesnej śmierci spowodowanej na życzenie nieuleczalnie chorego, o wypadku eutanazji. Potem dodał do tego wiadomość, iż trad niebawem będzie ze wszystkim zwalczony, by wreszcie w części kaznodzieistkiej uprzystępnić

czytelnikowi następujący passus:

„Fałszywi humaniści spod znaku indyferentyzmu i skrobanki żonglują hasłem wygody życiowej, doraźnej korzyści, doraźnej zachcianki. Człowiek cierpi, nadzieja na ozdrowienie mała, no to siup cjanku czy potrójną dawkę morfiny. Byłoby wygodniej, byle przyjemniej. Obea jest im heroiczna postawa wobec losu. Ale pomysłmy: czy gdybyśmy z takiej heroicznej postawy mieli zrezygnować, cywilizacja byłaby cywilizacją? Czy doszłaby do nas kiedykolwiek wiadomość z Brazaville o zniszczeniu trądu?”

Znam większe przyjemności niż takie „siup cjanku” w okolicznościach strasznych bólów przedagonijnych. Rozumiem p. Milewskiego, że dla niego cjankowa przekąska może stanowić frajdę, jak wszystko, co jest owocem zakazanym. Trochę się tu jednak z tymi wygodnikami rozkoszami zagalopował. Nie podejmuje też w swej bełfrzej mowie problemu eutanazji. Zainteresowani nią bezpośrednio nie czytują, już felietonów.

Na drodze eliminacji pozostały mi w charakterze tematu gawędziarskiego: humorystyczne zdanie o „fałszywych humanistach spod znaku indyferentyzmu i skrobanki” (Dlaczego nie sceptycyzmu i wycinania migdałów?) oraz problemik „wygody życiowej, doraźnej korzyści i doraźnej zachcianki” i „heroicznej postawy wobec losu” jako motoru postępu cywilizacyjnego, a nawet przyczyny naukowych odkryć medycznych.

Ostatnio w jakiejś towarzyskiej rozmowie moja znajoma rzekła, że teraz, kiedy trwa konferencja genewska nie może ona, jak to jest stałym jej zwyczajem, trzymać cały dzień otwartego radia. Tyle mówią o pokoju i porozumieniu (przez radio, oczywiście), że mimo woli

SKAZANI NA SIEBIE

Dokończenie ze strony 1

podekscytowany. Przewidywałem romantyczne przygody, snulem wizje dalekich krajów, w wyobraźni widziałem już siebie w fantastycznych ezotycznych portach.

JEST NAS 56

Rzeczywistość była na razie jednak mniej romantyczna. Było nas na statku 56 mężczyzn. „Oni” — to znaczy załoga i ja. „Oni” — wrócili z trwającego 6 miesięcy rejsu dwadzieścia dni temu i oto znowu wypłynęła w następny rejs — więc kłną. Ja? Dla mnie to wielka przygoda — więc jestem zadowolony, uśmiechnięty. Oni patrzą na mnie z lekko ironicznym uśmiechem...

— I co, nie za długi taki rejs dla pana? — Za długi? Ja bym chciał nie pół roku, ale rok... dwa... Mój rozmówca wykrzywił twarz — trudno ten grymas nazwać uśmiechem. — Pogadamy za dwa miesiące...

Jest nas 56 mężczyzn. Jesteśmy skazani na siebie. Na siebie — to znaczy na swoje towarzystwo. Możemy mieć różne przyzwyczajenia, poglądy, możemy się lubić lub nienawidzić. Jeden lubi gwizdać, drugi śpiewać, trzeci zbiera motyle, a czwarty właśnie nie znośi wszystkiego co fruwa. Trudno. Jesteśmy na siebie skazani. Rejs może trwać 5 miesięcy, może trwać sześć, a może i dłużej. A my będziemy się codziennie widywali dziesiątki razy. W ko-

rytarzu, przy pracy, cztery razy dziennie na posiłkach w messie, przy radiu w świetlicy. Będziemy się spotykać w nocy na pokładzie, gdy płynący z nieba potworny żar wypędzi nas z dusznych kajut i razem uciekniemy z pokładu na powrót do dusznych kajut, gdy komary i różne robactwo przepędzą nas z pokładu. Będziemy spotykać się nocą w kabinie radiotelefonu, nerwowo nasłuchując urwanych pisków radiostacji całego świata, czy nie usłyszymy nagłe tego jednego, nagłe najbliższego pisku Gdynia-Radio... Jak go rozpoznajemy? Bo ja wiem. Jest bliźniaczko podobny do sygnałów tysiąca innych stacji. A jednak nauczyliśmy się go rozpoznawać. Słonymi dźwiękami skręcamy sobie czas oczekiwania, pokrywamy chandrę, a przecież przygnębia nas tu tęsknota. Chcemy choć kilka słów zamienić z bliskimi w kraju, Radio-oficer monotonnym głosem powtarza:

— Gdynia-Radio. Gdynia-Radio. Woła „Sikorski”. Woła „Sikorski”. Woła „Sikorski”. Halo, Gdynia-Radio. Woła „Sikorski”. Słucham.

Potem po nocach oczekiwania nagle uzyskujemy połączenie z krajem. Zaraz, która to w kraju godzina? U nas teraz pierwsza w nocy, to w kraju siódma wieczór.

Ktoś wściewy odchodzi od słuchawki radio-telefonu. Dlaczego nie było jej w domu? Gdzie ona się szwenda?



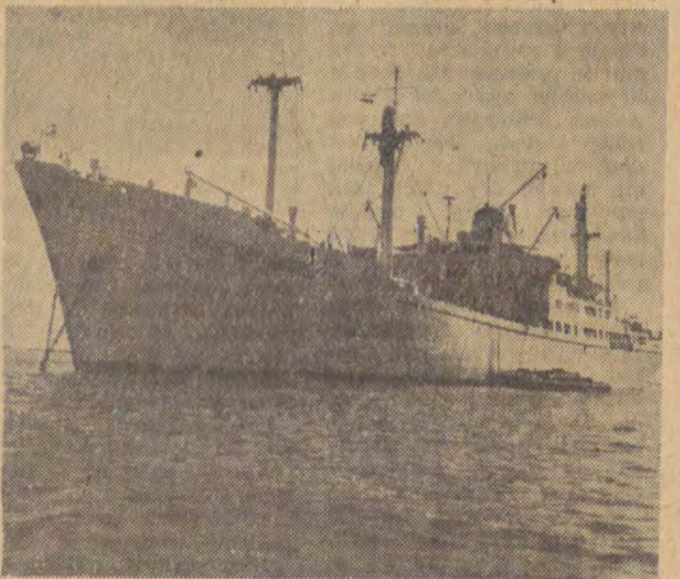
Ktoś krzyczy. — Panie radio podkręć pan coś, bo nie słychać. — Zośka, Zośka, głośniej, nie słychać...

PROBLEMY

Płyniemy przez trzy kontynenty. Europa, Afryka, Azja. 20 krajów, dziesiątki portów. Wielka przygoda. Romantyzm. Ale tam w kraju, każdy zostawił jakieś swoje ważne sprawy, rodzinne. Oficer Z, jest zaledwie półtora roku po ślubie. Z żoną przebywał tylko kilka miesięcy. Gdy był w poprzednim rejsie, urodziła mu się córka. Widział ją dwadzieścia dni. Inny z oficerów jest już rok po ślubie, a żonę od tego czasu widział zaledwie miesiąc. Problemy. Po wyjściu z Bangkoku, w nocy na statku wybuchła awantura. Ktoś się upił. Do stał w porcie list od teścia, że żona z innymi... Ale na statku musi być porządek. Współczucie swoją drogą, a służba swoją. Dziś ty, jutro inny, ale praca na statku musi toczyć się zwykłym trybem. W Japonii czekają na ryż, w Singapurze na mechaniczne zabawki. Płyniemy. Co dzień powtarza się ceremonia obliczania, na której możemy być w kraju. Ale bywa, że wszelkie obliczenia biorą w „leb”, albo stają pod znakiem zapyta-

CONRAD, WYSIADKA!

Jeśli popłyniecie kiedyś w rejs, nie zabierajcie z sobą książkę Conrada. Nie szukajcie także prawdy w „marynarskich” piosenkach. Na statku wrogim numer jeden są nie sztormy, tajfuny, monsuny, choć i one potrafią dać się dobrze we znaki, kiedy przechylony statek sięga czterdziestu pięciu stopni, a człowiek przestaje rozróżniać co sufit, co ściana, a co podłoga. Kiedy zadacie sobie pytanie, czy niebo jest u góry czy na dole,



(Dokończenie na str. 5)

nerwowany — ustawicznym klamaniem. Ogledziny mydła wyraźnie wskazują na cel wyprawy chłopców z jednej dzielnicy na drugą. W mydle są odciski kluczy... Nie ulęga wątpliwości, chłopcy zamierzali dokonać włamania. Pozostaje więc pytanie — gdzie? Odpowiedź daje trzeci z chłopców, najmłodszy, nie ma jeszcze jedenastu lat.

— Erzyjechaliśmy tutaj, bo tamten mówił, że wejdziemy do jednej takiej komórki, gdzie są gołębie. I otworzyli tym kluczem i Pietrek wziął worek i zaczął te gołębie wkładać do worka. Tych gołębi było trzy-nastu. I chcieli to sprzedać. A wcześniej to Pietrek wziął furmanowi bat i sprzedał jednemu takiemu starszemu panu z knajpy za piętnaście złotych i kupił dwie bułki i śledzie, bo był bardzo głodny.

Milicjant spisuje teraz protokół. Chłopcy od tej chwili będą „odnotowani” w kartotece nieletnich przestępców. Będzie się nimi interesowała milicja. Pietrek jest już zapisany w tej kartotece. Otrzymuje adnotację — niepoprawny. Jego sprawa nie zakończy się wezwaniem rodziców, zwróceniem im uwagi na skutki złego wychowania. Pietrek stanie prawdopodobnie przed sądem dla nieletnich.

Trzej chłopcy siedzą na prostej ławie w milicyjnej poczekalni. Czekała na przybycie rodziców, po których pojechali milicjanci. Jest druga w nocy.

Najpierw wchodzi do pokoju oficera ojciec trzyna-

stolatka. Jest ubrany bardzo porządnie. Ma około czterdziestu pięciu lat. Zachowuje się jednak dziwnie niepoważnie. Gdy podchodzi do niego, uderza mnie odór alkoholu. Jest zły, że o tej porze musiał się facygować taki kawał drogi. Opowiada o sobie, o swej rodzinie. Nie może zrozumieć, jak to się stało, że jego syn wyrósł na „takiego Jrania”.

— Uduśże lajdaka! — wykrzykuje. — Żeby taki wstyd przynosił rodzinie, w której są ludzie na wysokich stanowiskach? Uduśże!

Chłopak patrzy lekceważąco na ojca. Wyraźnie nie sobie nie robi z pogróżek. Wie, że to puste „gadanie”. Jutro znowu będzie bezkarnie biegał po ulicach, będzie uciekał ze szkoły i wracał późną nocą do domu. Ojca przecież i tak nie zastanie w mieszkaniu. Pójdzie znów na wódkę lub karty.

Za chwilę powtarza się podobna sytuacja. Po piętnastoletniego chłopca przyjeżdża jego starszy brat. Ojca nie było w domu, podobno na pracu. Matka chora. Nie umie wytłumaczyć, skąd jego brat wziął klucze. W ogóle nie umie nie powiedzieć na temat zachowania się chłopca w domu i w szkole. Prawie się nie widują, bo on już pracuje. Dowiadujemy się tylko, że piętnastolatek jest gościem w jednym z zakładów, zarabia około 500 złotych. Czy oddaje te pieniądze w domu, tego brat nie wie.

Wreszcie przychodzi matka Pietrka. Jest zapłakana, przestraszona. Siada na po-

danym krześle i przygląda się milicjantom z tępa rozpaczą. Na pytanie, gdzie jest Pietrek i co dzisiaj robił w nocy, odpowiada:

— Ja nie wiem, proszę panów... Uciekł mi znowu i do tej pory go nie ma. Ucieka często z domu. Przecież nie będę za nim latać po ulicach.

Milicjant przerywa spokojnie:

— My wiemy z doświadczenia, że w ogromnej większości na postępowanie dzieci ma wpływ dom, życie rodzinne, stosunek matki do ojca i odwrotnie. Czy pani nie widzi możliwości zmiany...

Matka Pietrka protestuje gwałtownie:

— Nie dom, proszę pana, nie dom. On mi kiedyś mówił, że mają takiego kolegę piętnastoletniego. Muszą go słuchać i robić to, co im każe. A jak go nie słuchają, bije ich. Pietrek jest pod jego wpływem. Co ja mogę na to poradzić? Do szkoły mi nie chodzi, ucieka z domu, kradnie... Zamknijcie go w jakimś zakładzie poprawczym, niech mam wreszcie święty spokój!

Czy Pietrek pójdzie do domu poprawczego, tego nie wiem. Chłopiec ma przecież dopiero jedenaście lat. Wiem natomiast, że wieczorami po ulicach wędrują się gromady chłopców i dziewcząt bez celu, za cichą aprobatą rodziców. Wiem także, że często te spacery kończą się libacjami, a potem w bramach kamienic można spotkać pijanych szesnasto-

latków. Wiem, że coraz więcej jest matek, które wieczorami, zaniepokojone nieobecnością dziesięcioletniego, trzynastoletniego lub piętnastoletniego syna, wybiegają przed domy, zaglądają do bram, przeszukują zakamarki podwórek. Kiedy zapytacie je — dlaczego? — to wam odpowiedzą tak, jak matka, która spotkałem przypadkowo o godz. 22. Echo roznosiło po pustej ulicy jej rozpaczliwe wołanie: Jacek! Jacecek!

— Już dzisiaj raz miałam proszę pana z moim synem zdarzenie. Pięć dni nie chodził do szkoły, ja nie wiedziałam o tym, wreszcie złapał go milicjant — grał w karty o pieniądze. Teraz znowu gdzieś pobiegł. Więc go szukam, bo, proszę pana, raz go złapia, drugi raz go złapia, dom poprawczy i konieć. A tam przecież zbrodniarze są. To ja nie chcę tego. A tu, proszę pana, takich jak on, małych chuliganów, są setki... Więc muszę go oddać do zamkniętej szkoły, żeby się nie zmarnował. Ja pracuję w fabryce, raz przed południem, raz po południu, to on bez opieki zostaje. A męża nie mam. Zmarł dwa lata temu. Muszę więc chłopca ratować póki czas...

I to jest cała już odpowiedź matki, przygodnie spotkanej na ulicy.

Chodzę po wielkim, ruchliwym mieście i nadal zastanawiam się: czemu tak często w mrocznej bramie wielopiętrowego domu stoi jedenastoletni Pietrek?

TADEUSZ SZEWEBA



EDWARD-EMSKI

Pustynne szczyry

Po wykonaniu zadania dywersyjnego major Easonsmith dzieli swoich ludzi na dwie grupy: „zmotywowaną” z majorem Popskim i pieszą z Easonsmithem. Sytuacja jest niezwykle trudna. Dopiero o sześćdziesiąt kilometrów dalej jest ukryty samochód z zapasem wody, benzyny i żywności. O dwadzieścia kilometrów dalej znajduje się dawne lotnisko RAF wyznaczone jako ogólne miejsce zbiórki uczestników akcji.

O 800 km na południe leży oaza Kufra, gdzie znajdują się Oddziały Sił Obronnych Sudanu.

Przed oddziałami otwiera się niebezpieczna droga przez morze piasków. W oddziale, w którym jest Popski, są ranni, w tym Parker, postrzelony w brzuch; stan tego ostatniego jest coraz gorszy.



To dawało szansę uratowania go. Z L. G. 125 do Kufry trasa wynosiła osiemset kilometrów, częściowo w bardzo ciężkim terenie. Doktor nie pozostawiał im żadnych złudzeń — jeśli Parkera nie zabierze samolot, nie ma dla niego

żadnej nadziei, nie przetrzyma drogi.

W dniu tym zrobili prawie dwieście kilometrów i kiedy zatrzymali się na nocleg, byli od L. G. 125 nie dalej jak pięćdziesiąt kilometrów.

Następnego dnia, 17 września, wyruszyli o świcie w dalszą drogę. Po mniej więcej dwóch godzinach jazdy nawigator, który przez cały czas obserwował busolę i liczył kilometry, kazał kierowcy zatrzymać wóz, wspiął się na

oparcie siedzenia i zaczął uważnie badać horyzont dookoła. Według jego obliczeń dotarli do L. G. 125 — 220 kilometrów od Bir Jerari na kat kierunkowy 140°.

Z nimi ciągnęły się ślady samochodu. Poza tym nie — wszędzie tylko łagodnie sfalowana pustynia, piasek usiany szarymi, błyszczącymi kamieniami.

— Nie spodziewałem się wcale, że od razu trafimy na miejsce. Jestem pewien, że znajdujemy się gdzieś w promieniu pięciu kilometrów od L. G. 125. Wkrótce odnajdziemy lotnisko.

— A czego szukamy? — pyta major Popski.

— Rozbitego samolotu. Jego ogon sterowy pionowo do góry i jest widoczny z daleka.

Wóz rusza. Kierowca postawnie wykonuje polecenia nawigatora — najpierw trzy kilometry prosto na zachód, potem tyleż samo na południe, potem na wschód, wreszcie na północ. W dalszym ciągu nie widać żadnego samolotu.

Wobec tego jeszcze raz to samo, ale teraz po sześć kilometrów — na zachód, na południe... Kiedy ujechali trzy kilometry na południe, na horyzoncie wydaje się zarysować coś, co nie jest pustynią.

— Chyba tam?

— Może. Sprawdźmy. Zbliżają się powoli — na lotnisku mogą być Niemcy, często tu zaglądają. Tak, to ogon samolotu, teraz już nie ma wątpliwości. Ukazują się i inne rozbite i wypalone samoloty. L. G. 125.

Zawracają, objeżdżają lotnisko dookoła — by sprawdzić, czy nie ma świeżych śladów samochodów. Nie, nie ma śladów. Na lotnisku nie ma więc Niemców, ale nie ma też i towarzyszy z LRDG. Trzeba będzie czekać — kto wie jak długo?

Na skraju lotniska znajdują stare schrony. W jednym

urządzają kwaterę, w drugim prowizoryczną salę opatrunkową dla doktora. Parker jest bardzo słaby i zupełnie wyčerpany — nie ma mowy o tym, by wieść go dalej.

— Zostaniemy tu tak długo, jak długo Parker będzie żył.

Te słowa doktora wyrażają myśl ich wszystkich. Zapasów mają niewiele. Jeśli trzeba będzie zostać kilka dni, skończy się woda i żywność.

Może znajdą jakieś zapasy? Zeszłej jesieni RAF użytkował lotnisko przez szereg miesięcy, potem opuścił je w pośpiechu. Major Popski z kierowcą wybierają się na poszukiwania.

Wracają późnym popołudniem. Znaleźli pięćset litrów benzyny, której nie potrzebują oraz osiemdziesiąt skrzyń sucharów, dwadzieścia dwie puszek konserw i prawie sto litrów wody.

Samochód wyrusza po te zapasy. Wystarczy ich, nawet gdyby mieli to zostać tydzień — i na pobyt na miejscu i na dalszą drogę do Kufry.

Kierowca wprowadza samochód do rozwalonego baraku, starannie go maskuje. Pod rozpiętą siatką maskowniczą bierze się do pracy mechanicznej, przygotowuje wóz do dalszej drogi.

Tuż po zachodzie słońca słychać pracę kilku silników — jakieś wozy zajeżdżają na drugi skraj lotniska.

Kryją się i czekają. W ciemności widzą blask ogniska, które nieznaną goście rozpalili. Kolo dziesiątej Davies udaje się na rozpoznanie. Czekają na jego powrót, lecz na piasku wokół schronów. Czekają długo. Davies nie wraca. Ciższa. Zadnych strzałów, zgiełku.

— Musiał im wejść prosto w ręce. Teraz już nie ulega wątpliwości, że to Niemcy!

— Sądze, majorze — mówi Wilder — że najlepiej będzie,

jeśli zbierze pan wszystkich, którzy jakoś się trzymają na nogach, i uderzy na Niemców tuż przed świtem, kiedy będą spali. Davies nie zdradził im na pewno, że tu jesteśmy, niewątpliwie są przekonani, że był sam. Tylko zaskoczenie może nam dać jakieś szanse.

— I ja tak myślę. Teraz na rozpoznanie nieprzyjaciela wyrusza major Popski z kierowcą. Idą ostrożnie, cicho. Gdy przeszli kilkadziesiąt metrów, słyszą zbliżające się w ich stronę kroki, po chwili zarysowuje się sylwetka człowieka.

— Strzelać? — myśli major Popski. — A jeśli to Davies? Zatrzymać go? Ale Davies wróciłby już dawno, to musi być Niemiec, w odpowiedzi albo zanieże strzelać pierwszy, albo rzucić nam granat. A może to jednak Davies, może zablądził?

— All, who goes there! — głos majora brzmi jak wystrzał.

Pierwszych kilkadziesiąt metrów Davies przebył cichym, ale szybkim krokiem.

— Siedzą przy ogniu — myślał — nie mogą mnie zauważyć.

Ale zaraz odezwał się głos rozsądku.

— Musieli wystawić ubezpieczenia. Trzeba jednak pamiętać.

Pehała go naprzód ciekawość i nadzieja.

— Jeżeli to nasi, to już rano będzie tu samolot i zabierze Parkera.

Głos rozsądku zalecał ostrożność.

— Pół godziny nie robi żadnej różnicy. Samolot i tak może wystartować dopiero o świcie. A jeśli to są Niemcy...

Davies zaczął śmiać. Wyraźnie widział sylwetki przy ognisku, gotowali kolację, rozmawiali, ale cicho, nie mógł rozróżnić słów. Niewielki plo-

mień nie pozwalał na identyfikację mundurów.

— Muszę podpełzną bliżej. W razie czego rzucę granat i w nogi...

Odbezpieczył granat i pełził dalej, teraz już bardzo powoli i ostrożnie. Od ogniska dzieliło go nie więcej jak dwadzieścia metrów. Rozmowę przy ognisku słyszał teraz radio, nastawione głośno i grające jakieś sentymentalne tango.

— Tango. To chyba Niemcy — Londyn rzadko nadaje tanga. Musi akurat być sama orkiestra, psiakręć! Słowa piosenki rozróżniłbym nawet ślad. Może następna melodia będzie śpiewana.

Orkiestra umilkła.

— Hier spricht Berlin. Wir bringen ihnen Nachrichten...

— No tak. Rzucić im granat? Nie, zbyt wielu ich jest, nie wolno ich alarmować. Ostrożnie do tyłu, jeżeli mnie zauważą, to po nas...

Głos majora brzmi jak wystrzał.

Błyska latarka, światło pada na twarz idącego.

— Owen?!

— Cześć, co słychać?

— A Davies?

— Zostal u nas. Wyobraź sobie, wziął nas za Niemców — nastawiliśmy radio na Berlin — i chciał już do was z tą miłą wiadomością wracać. Słabo mi się robi, gdy pomyślę, jaka miła niespodzianka czekała mnie dziś w nocy. Uderzyłbyście pewnie tuż przed świtem — co? Najpierw granaty, potem pistolety maszynowe? Dopiero gdy zgasiłmy radio, rozpoznał nasze głosy. Już zawiadomilem Dowództwo, jutro będzie samolot.

Samolot ma przylecieć z Kufry o godzinie 13. Taką wiadomość otrzymują następnego dnia rano.

D. c. n.



MATA-HARI

MIEJSCA DLA PUBLICZNOŚCI W SALI SĄDOWEJ WE FRANKFURCIE NAD MENEM ŚWIĘCILI TEGO DNIA PUSTKAMI. W NIEMCZECH ZACHODNICH PROCESY SZPIEGOWSKIE NIE BUDZĄ JUŻ SENSACJI, DLA NIKOGO NIE STANOWIĄ EMOCJI, MOŻE JESZCZE FILM?

Amatorzy dreszczyku nie przeczuwali, co tracą.

Trzej mężczyźni, którzy piętnaście, czy siedemnaście lat temu rozstali się w osobliwych okolicznościach, a teraz spotkali przed sądem, nie ustępowali w niczym gwiazdorom filmowym.

Francuz — niewysoki, nerwowy, bardzo elegancki, elokwentny, na wszystko żywo reagujący: gestem, grymasem, błyskiem oczu zza okularów.

Anglik — wysportowany,



wygotony, o wpadniętych policzkach, z matym przystrzyżonym wąskiem, jak przystało na syna Albionu opanowany i dyskretny, a może po prostu flegmatyczny.

Niemiec — rosy, postawny, szpakowaty i lysiejący, ale bardzo jeszcze przystojny, z zaciśniętymi wargami, z zimnym przenikliwym spojrzeniem.

Ale gdzie się podziela a-mantka?

— Matylda Carré, ze względu na zły stan zdrowia, zostanie przesłuchana przez sąd francuski.

Ze względu na zły stan zdrowia postarzała, schorowana kobieta nie stanie oko w oko z mężczyznami, którzy przebaczyli jej winę, ale których pogardy nie zmieńczy jej dawno utraczony czar.

Drapieżna uroda Françoise Arnoul doskonale odpowiada roli tytułowej w filmie „La Chatte” — „Kotka”. Françoise jest znakomitą aktorką, Matylda — autentyczna „Kotka” — chyba nie odegrałaby lepiej przy-

gód własnego życia. Chociaż, kto wie? Kiedyś jej uroda budziła zachwyt, nie darmo koleżdy z uniwerski nazywali ją małą księżniczką. A nie brakowało jej inteligencji, sprytu i umiejętności udawania.

Jej własny proces zakończył się dawno. Aresztowana przez Anglików w 1942 r., w siedem lat później skazana została na karę śmierci przez sąd wojenny w Paryżu. W 1954 r. prezydent Francji skorzystał z prawa łaski. Wypuszczono ją na wolność, ale dwadzieścia lat więzienia nie miały bezkarnie.

Jak wszystko potoczyło się inaczej, niż planowała?

Od młodych lat pragnęła używać życia. Studia na wydziale literatury, posada nauczycielki w Algierii, małżeństwo z profesorem z Oranu... Nie, nie była nieszczęśliwa. To było po prostu nudne. Kiedy wybuchła wojna i mąż poszedł na front, zanim jeszcze zginął, trzydziestoletnia kobieta zapomniała o nim, jakby nigdy nie istniał. Nagle zjawiała się we Francji, w Tuluzie poznała czarującego Polaka, oficera. Nazywał się Roman Czarniawski, ale ktoś by wymówił takie nazwisko? Przeważała go Toto.

Miłość miłością, coś trzeba



było robić w tym zwiariowanym kraju, który tak łatwo wpadł w łapy niemieckie. Okazało się, że Toto pracował w „dwójce”, otwierały się więc dla niej ponętne perspektywy wielkiej przygody. W kawiarni, przy gnie — zaczęli organizować sieć szpiegowską.

W dwa miesiące później, w grudniu czterdziestego roku, znaleźli w Vichy sojuszników spod znaku de Gaulle'a. Przerzucono ich do Paryża, nawiązali kontakt z Intelligence Service. Praca była poważna, zasługi ogromne. Z Londynu sypały się pochwały. Wśród członków ruchu oporu „Kotka” i „Armando” zdobyli niezwykłą popularność, jej pseudonim stał się imieniem pospolitym, synonimem agentki.

Niestety, Toto — czyli „Armando” — popełnił błąd.

Rzucił Matyldę. Miał dość jej namiętności, agresywności, egoizmu. Wprowadził do organizacji swą dawną znajomą Renatę Biarni. Rywalki zniechędziły się serdecznie. Renata orłem nie była, „Kotka” traktowała ją jak geś.

Kiedy przypadkiem Gestapo nakryło Czarniawskiego i jego nową przyjaciółkę, dziewczyna nie mogła przeboleć, że jej przeciwniczce uszło płazem. Sypnęła.

Jednakże Matylda nie przeżywała długo w więzieniu.

— Zrozumcie — tłumaczyła później sędziom — czy mogłam tkwić w tej cuchnącej norze? Ma się tylko jedno życie, trzeba o nie dbać.

Rozprawa we Frankfurcie toczyła się w sądzie cywilnym. Piotr de Vomécourt wystąpił z powództwem o 50 tysięcy marek, to znaczy 5 milionów franków, tytułem odszkodowania za oszczerstwo. Pozwany, niejaki Soltikow, a może Soltykow, osobnik nieustalonego pochodzenia, tytułujący się hrabią, był agent Abwehry, napisał książkę, w której — jego, szanowanego przemysłowca, człowieka obracającego się w najlepszych sferach,

Dla Cowburna Matylda Carré nie była skruszoną grzesznicą, ani heroiczną filmowego romansu, była agentem, który zdradził.

Z kolei pan Mercier, adwokat powoda, przypomniał, że jego klient zaraz po aresztowaniu próbował popełnić samobójstwo przecinając sobie żyły ostrzem blaszki od zakończenia sznurowadeł. Posiada jeszcze bliźnię. Znalaziono go w celi omdlałego z upływu krwi. Niemcy mieli wiele kłopotu nim przywrócili go do życia. Jak wiadać nie myślał o zdradzie. Proszę, niech pan Hugo Bleicher wskaże we Francji lub Anglii kogoś, kto czuje się zdradzony?

Bleicher zmilczał.

De Vomécourt wyjaśnił.

Po klęsce Niemiec, Bleicher nie miał wyboru. Szukał nici, którą mógłby naprawić swą szpiegowską przeszłość. Usiłował udowodnić, że zachował przy życiu wielu alianckich agentów. A przy tym, w swej bucie nie chciał przyznać się do porażki: jak wiadomo „Kotka” pracowała dla nas, później dla niego i znowu dla nas.

— W dodatku złapałem go na kłamstwie. Twierdzi, że wydałem dwunastu towarzyszy. Otóż po wyjeździe Ma-

II WOJNY ŚWIATOWEJ

tyldy aresztowano piętnastu z mojej grupy. Ja byłem dziewiąty z rzędu. Przypuścimy nawet, że tych sześciu wyspałem, co z pierwszymi ośmioma?

— Co powoda łączyło z Matyldą Carré? — Tylko współpraca. To nieprawda, że była moją kochanką, jak twierdzi pan Soltikow. „Kotka”, alias Michalina, alias Wiktorina, nim Bleicher ją aresztował, była wybitnym wywiadowcą. Była zresztą założycielem i organizatorem naszej placówki. Później zdradziła. Ze strachu? Z miłości? Nie wiem. Wyznała publicznie swą skrucę i przebaczyłem jej.

Bleicher nie wypierał się intymnych stosunków z Matyldą. Nie chciał jednak wiele mówić. To są „powinności zawodowe”, oznajmił. Czasami trzeba zdobyć kobietę, która może być pożyteczna.

Kupczyk — chciał dla historii pozostać nieublaganym wrogiem francuskiego ruchu oporu, tym, który rozbił i unicestwił „Interallie”. Jak jednak było w rzeczywistości? Jeśli wbrew ogólnemu mniemaniu, nie duży się w swej, jakże użytecznej, kochance, jeśli o niej zapomniał, po co jeździł w 1955 r. do Paryża i dlaczego ca'y mi godzinami przesiadywał w kawiarni, gdzie kiedyś się spotykał? Na pewno nie zapomniał zresztą nocy w lutym 1942, kiedy to umożliwił jej ucieczkę do Londynu, choć mógł przewidzieć następstwa. W tak częstym męskim zaślepieniu pragnął wierzyć, że jest kochany do szaleństwa, że jego nie zdradzi.

On istotnie przeżył wielką przygodę. Aresztowanie Matyldy przyniosło mu błyskawiczny awans, dało niemal nieograniczoną władzę w Paryżu. Znalazł w niej nie tylko czarującą kochankę, ale oddaną, nieustraszoną pomocnicę.

Kiedy, jeszcze jako skromny sierżant, odwiedził ją w celi przygotowaną na śmierć i zaproponował jej współpracę w zamian za wolność, obiecała, że zniszczy znane jej ognisko oporu. Spełnia obietnicę z nawiązką: wy-

dała dziesiątek kolegów, dziesiątki nowych patriotów wciągnęła do konspiracji. By później ich również przekazać Gestapo. Przynosiła mu, do jego mieszkania przy ulicy Faisanderie, zlecenia otrzymywane z Londynu i przesyłała do Intelligence Service sprokurowane wspólnie fałszywe informacje. Tylko dzięki niej dumne krążowniki „Scharnhorst” i „Gneisenau” mogły bezpiecznie przepłynąć Kanał tuż pod nosem floty brytyjskiej.

Zaniepokojeni Anglicy kazali Vomécourtowi sprowadzić ją do Londynu. Dziwna to była podróż. Prawie całą marynarkę i lotnictwo niemieckie czuwały, by nie się nie stało brytyjskiej łodzi podwodnej, która wiozła wybitnego szpiega.

Do Francji wrócił tylko Vomécourt i wkrótce padł ofiarą Bleichera. „Kotka” została na wyspie. Nawet gdyby chciała, nie mogła wrócić, Anglicy wiedzieli o wszystkim.

Dlaczego nie aresztowali jej z miejsca? Dlaczego przez kilka miesięcy bawiła się i

spijała szampan w towarzystwie oficerów wywiadu JKMości?

Dlaczego ulaskawiono ją potem? Dlaczego Vomécourt — winien czy nie winien — nie miał nawet procesu?

Wysoki sąd nie ukrywał zdumienia: „Jak się to dzieje, że agenci przechodzą bezkarnie z jednej strony na drugą?”

Gordon Young, pisarz angielski, w dedykowanej Matyldzie Carré książce pod znanym tytułem — „Sąbotaż, szpiegostwo, a gdy trzeba zabójstwo” — wyjaśnia:

— W Special Operations Executive moralność się nie liczy, tylko wydajność ma cenę.

— U nas, w SOE — zaczął major Cowburn.

I umilkł. To nie były jego sekrety.

W sądzie zapanowała chwila milczenia. Tylko Soltikow wierszył się niespokojnie na krześle.

Na podstawie „Paris Match” opracował H. A.



OSTATNI ODCINEK „ANDROMEDY“

Erg Noor spokojnie przechadzał się po puszystej łące... Nigdy jeszcze ojczyzna Ziemia nie wydawała mu się tak piękna. Przepelniała go ogromna wdzięczność do wszystkich ludzi, do całej natury, do wszystkiego co współdziałało w ratowaniu Nizy, jego rudowłosej dziewczyny. Dzisiaj po raz pierwszy wyszła mu sama na spotkanie w parku szpitala. Po naradzie z lekarzami postanowili wspólnie wyjechać do północnego neurasanatorium.

Niza była już zupełnie zdrowa. Należało tylko przywrócić siły wyczerpane długotrwałym snem katapleptycznym. Niza żywa i zdrowa! Myśl ta ciągle od nowa napelniała serce radością i przyspieszała jego bicie.

Erg zobaczył w dali zbliżającą się szybko kobietę. Poznał ją. Była to Weda Kong. Erga uderzyło podobieństwo jej do Nizy. Obydwie kobiety różniły tylko oczy. Weda miała spojrzenie zawsze zamyslane i spokojne. Niza zaś uparte i suchawe.

Weda wyciągnęła na powitanie ręce i Erg przywarł do nich twarzą.

— Chciałem ci podziękować za opiekę nad Nizą. Wiem wszystko, konieczny był nieustanny dyżur i ty z tego powodu zrezygnowałaś z udziału w ciekawej wyprawie.

— Nie zrezygnowałam, tylko po prostu spóźniłam się oczekując „Tantry”. Poza tym ta twoja Niza to чудо... Jesteś nawet do siebie podobna, ale ona jest prawdziwym przyjacielem zwycięzcy kosmosu i żelaznych gwiazd, ze swoim umiłowaniem przestworzy i oddaniem... — Weda!

— Ja nie żartuję, Erg! Wiesz, że teraz nie czas na żarty. Trzeba wszystko wyjaśnić.

Zaległa chwila milczenia. Szli obok siebie po bezludnej drodze aż Noor zagał:

— Kto jest teraz twoim prawdziwym przyjacielem?

— Dar Wietier.
— Ach, tak!..
— Żegnaj Erg. Ja już tu nie mam co robić. Teraz kolej na ciebie. Kiedy się znów zobaczymy? Czy dopiero przed odlotem waszego statku?
— Nie, nie Weda. Razem z Nizą



Hum. HELENA NOWICKA

wyjeżdżamy na trzy miesiące do sanatorium północnego — do „Białej Zorzy” — przyjeżdż z Darem!

— Dobrze, postaram się.

Mineło kilka miesięcy...

Dar Wietier wraz z Wedą stali trochę z boku dużego tiumu odprowadzających. Wszystkie głowy zwrócone były w stronę głównego budynku. Po chwili wyjechała stamtąd szeroka platforma, na której stały dwadzieścia dwie osoby nowej

ekspedycji międzygwiazdowej — załoga statku „Ląbedź”.

Pojazd zbliżył się do gwiazdołotu. Znajdowała się tam już dwudziestopięciorobowa komisja, składająca się przeważnie z inżynierów kosmoportu. W ciągu ostatnich dni sprawdzali oni specjalnymi aparatami sprawność urządzeń gwiazdołotu.

Przewodniczący komisji przekazał statek kierownikowi wyprawy. Był nim Erg Noor. Po chwili otoczył ich tłum odprowadzających. Noor zauważył stojącą w dali Wedę i szybko skierował się ku niej.

— Jak to dobrze, że przyszłaś!

— Czy mogłam inaczej?

— Jesteś dla mnie symbolem piękna Ziemi i minionej młodości.

— Zostaje z tobą na zawsze młodość Nizy.

— Nie powiem, że niczego nie żałuję. Żał mi przede wszystkim Nizy, swych towarzyszy no i samego siebie. Zbyt wielka jest strata. Podczas ostatniego pobytu jakoś po nowemu pokochałem Ziemię — mocniej i prościej...

— I jednak odlatujesz?

— Nie mogę inaczej! Gdybym zrezygnował straciłbym nie tylko kosmos, ale i Ziemię.

— Zwycięstwo jest tym większe im większa jest miłość?

— Ty zawsze mnie dobrze rozumiałaś. A oto i Niza.

— To jednak tak ciężko... Wszyscyście tacy dobrzy... piękni... Rozstać się... Oderwać swe żywe ciało od matki — Ziemi... — głos Nizy zalał ją.

— Zostało dziesięć minut do zamknięcia luków — odezwał się martwym głosem Erg.

Wszyscy ze smutkiem i przerażeniem poczuli, że brakuje im słów. Jak bowiem wyrazić uczucia wobec ludzi opuszczających Ziemię na zawsze.

— Poraj! — znowu już dźwięczny głos Erg Noora smagnał wszystkich jak bicz. Poczuli się pośpiesznie zegnaj.

Weda, kryjąc się, popłakiwała, tułacząc w objęciach Nizy...



Erg Noor i Niza weszli na statek jednocześnie.

Ludzie zamarli, gdy przed czarnym lukiem na jasno oświetlonym pomoście zatrzymała się na chwilę dwie sylwetki: wysoka — mężczyzna i szczupła, zgrabna — kobiety.

Erg Noor i Niza zniknęli.

Groźnie zaryczyły sygnały pierwszej gotowości. Na przedzie statku zapaliły się krwawe ognie, sygnał startu. Wibracja potężnych motorów przeniknęła ziemię. Gwiazdołot zaczął odwracać się. Odprowadzający cofnęli się aż do pasa bezpieczeństwa.

— Oni już nigdy nie zobaczą nas ani nawet naszego nieba? — zapytał cicho przepelniony bólem głos.

— Nie, chyba przez stereoteleskopy — padła odpowiedź.

Ludzie powoli rozchodzili się do elektrobusów, spoglądając na niebo i na miejsce startu. Na południu nieba zapaliły się znajome gwiazdy. Wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku gdzie jaśniała błękitnym światłem gwiazda Acheruar. Tam właśnie znajdzie się „Ląbedź” po

osiemdziesięciu czterech latach drogi przebytej z szybkością dziewięćset milionów kilometrów na godzinę. Na Ziemi to potrwa osiemdziesiąt cztery lata, a tam na statku czterdzieści siedem.

Dar Wietier i Weda dogonili przyjeżdżając. Nagle z budynku wybiegli im na spotkanie fizyk Ren Boz. Ledwo mógł mówić z podniecenia. Przerywanym głosem zakomunikował im, że przed chwilą odebrał rewelacyjną wiadomość.

— Tak bardzo chciałem zdążyć przed odlotem, aby ją przekazać Erg Noorowi. Ten dysk na czarnej planecie to gwiazdołot z Mgławicy Andromedy — przybysz z drugiej Galaktyki.

— Czy Erg nigdy się o tym nie dowie? — zawołała z żalem Weda.

— Dowie się — twardo odpowiedział Dar. — Poprosimy Radę o energię dla nadania specjalnej transmisyjnej poprzez satelitę 3C. „Ląbedź” będzie mógł nas słyszeć jeszcze przez dziewiętnaście godzin.

KONIEC

Wreszcie ciężka maszyna rozpedziła się, wszystkie tryby zaczęły „grać”. Ustalono pewną koncepcję, polegającą na bacznej obserwacji kilku sklepów na peryferiach.

W toku żmudnych poszukiwań ustalono taktykę działania bandy i wyciągnięto pewne prawidłowości z ich sposobu postępowania. Założono zasadzki w najbardziej czułych miejscach i czekali.

Zimny, listopadowy wieczór. Dochodzi godzina 19. W tym czasie i przy takiej pogodzie na Starorudzkiej ruch był niewielki. Od strony Pablanickiej idzie trzech mężczyzn — jeden z nich trzyma pod pachą teczkę.

Mijając sklep spożywczy PSS zatrzymują się na moment, ale zaraz ruszają dalej. Po chwili jednak wracają. Coś półgłosem rozmawiają. O czym?

W sklepie panuje senny nastrój. — Jeszcze parę minut i zamykamy — mówi kierownik do ekspedientek. — To już chyba ostatni klienci.

Ale trzech mężczyźni z nasuniętymi na oczy kapeluszami i podniesionymi kołnierzami płaszczy nie myślą o zakupach.

Lufa pistoletu skierowana w stronę kierownika.

— Odwrócić się do ściany — pada rozkaz. Pieniądze z szuflad wędrują do teczki. Ekspedientki stoją twarzą do ściany. Obok kierownik. Jest cicho — słychać tylko łkanie jednej z kobiet.

Przez pięć minut nie wolno wychodzić ze sklepu — rozkazują bandyci. — Jak nie posłuchacie, to was znajdziemy.

Do sklepu wchodzi trzyna

JULIUSZ JANCZUB

kobiety. Milkną przerażone widokiem broni. Otrzymują te same polecenia: Trzasnęły drzwi. W sklepie nikt się nie rusza, nikt nie odzywa. Mijają minuty...

Wreszcie przychodzi odprężenie. Zawołać milicje! Trzeba biec do telefonu, dzwonić i czekać... A tymczasem rabusie są już daleko. Na polach w pobliżu Bonifratskiej dokonują podziału łupu. Dwóch z nich już znany — to uciekinierzy z więzienia. Trzeci członek bandy to Tadeusz S., brat Ludwika. Ma on na koncie kilka przestępstw z fałszowaniem dokumentów łącznie. Wracają teraz do domu. I rzecz dziwna. Chociaż Ludwik już ponad miesiąc siedzi beczynnym w domu, bądź u ciotki, nikt nie zapyta skąd ma pieniądze. Nikt nie zartoszczy się o to, za co żyje dwudziestokilkuletni zdrowy mężczyzna.

ZASADZKA

18 grudnia 1950 roku dwóch pracowników Wydziału Kryminalnego, chorąży Stanisław Reczek i st. sierżant Franciszek Wiatrowski, udało się do sklepu MHD przy ul. Bazarowej nr 10. Wyłuszczyli kierownikowi powód swego przybycia i poprosili na chwilę personel sklepu, składający się z trzech osób, do magazynu. Przerażonym ekspedientkom wyjaśnili, że istnieje możliwość napadu na ten sklep, więc trzeba odpowiednio się zachować. W wypadku, gdy bandyci będą się starali terroryzować ich pistoletami — należy na'ych-

WALKA Z CIENIEM (III)

HENRYK WALENDA



preżenia. Aż do samego zamknięcia sklepu trzeba uważać...

Oto wchodzi młody człowiek, z rękami w kieszeniach kurtki. Ogląda materiały, patrzy na ceny, dwukrotnie spogląda na zegarek. Przez chwilę kręci się jeszcze po sklepie...

St. sierż. Wiatrowski odciągnął kurek bezpiecznika...

Do sklepu weszła młoda kobieta. Ten w kurtce przywitał się z nią, razem podeszli do lady i wybrali materiał na sukienkę. Wyszli ze sklepu, śmiejąc się do siebie... Zakochani...

Każdy mężczyzna mógł być członkiem bandy, każdy stawał się podejrzanym.

Mineła godzina 17.00. Jeszcze sześćdziesiąt minut czekania.

Do sklepu weszło w krótkich odstępach czasu trzech mężczyzn. Zakreślił się i nagle w ich rękach pojawiły się pistolety.

— Rece do góry! Odwrócić się do ściany!

Ekspedientka stanęła w bezruchu, ale sprzedawca chwycił ją wpół i przewrócił na podłogę.

Zaskoczony bandyta nacisnął na spust Visa. Pociśk przebił kontuar, nie wyrzadzając nikomu krzywdy.

Reczek krzyknął:

— Milicja! Rece do góry!

Ale odpowiedziano mu strzałami. Wtedy Wiatrowski otworzył ogień do wycofujących się bandytów. Jeden z nich krzyknął i złapał się za brzuch...

Jeszcze kilka strzałów i bandyci wyskoczyli ze sklepu.

Chorąży Reczek popędził

za nimi, ale zaraz w progę zorientował się, że sam nie zrobi, bo ulica jest zupełnie ciemna i nie wiadomo, w którą stronę uciekli bandyci. Jedna z ekspedientek krzyczała bez przerwy, przypuszczano, że była ranna. Okazało się jednak, że to tylko nerwy.

St. sierż. Wiatrowski telefonował do Komendy Miejskiej.

— Napad... jeden bandyta ranny... są ślady krwi...

— Już wam wysyłam grupę operacyjną. Poprowadźcie pościg.

W gabinecie zastępcy komendanta toczy się gorączkowa narada. W jaki sposób można odnaleźć rannego bandytę? Powiadomione zostaje Pogotowie Ratunkowe, że każdy wyjazd do chorego musi być zgłoszony w komendzie.

Dzwonią telefony we wszystkich komisariatach — natychmiast roztoczyć opiekę nad lekarzami, aptekami, aby w wypadku zażądania pomocy natychmiast powiadomić komendę...

Ruszają na miasto patrol milicyjne, wstępują do aptek, felczerów i lekarzy...

Grupa operacyjną znajduje w ciemnym zakamarku zwłoki młodego mężczyzny. Nie posiada jednak przy sobie papierów. Po chwili zostaje rozpoznany, jako jeden z bandytów...

Telefon z pogotowia. — Wzywają nas na ul. Henryka do rannego...

(Dokończenie na str. 10)

odgłosy str. 7



Henri Matisse. Dwie kobiety na tle pejzażu prowansalskiego.

Od Gauguina do naszych czasów. Tak zatytułowana została wystawa nowoczesnego malarstwa francuskiego w salach Muzeum Narodowego w Warszawie.

Dlaczego od Gauguina? Termin „sztuka nowoczesna” jest umowny i nieprecyzyjny. Zazwyczaj nazywa się w ten sposób twórczość XX wieku, przy czym za datę zwrotną przyjmuje się rok 1905 — pierwsze wystąpienie plastycznej awangardy. Naprawdę jednak wszystko zaczęło się dużo wcześniej, z początkiem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

W czasach zwanych nowożytnymi — od wieku piętnastego do dziewiętnastego — włącznie — tendencją dominującą w sztuce europejskiej był naturalizm. Zmierzali się style i kierunki, ale przez cały czas absorbowali malarzy ten sam generalny problem: jak pokazać przestrzeń i bryłę na płaszczyźnie, jak na dwuwymiarowej powierzchni płótna przedstawić trójwymiarową rzeczywistość.

Podsumowując doświadczenia poprzednich okresów, stawiając wszystkie kropki nad „i”, cel ten osiągnął wreszcie impresjonizm. Wszelako z tą chwilą wierność w odtwarzaniu widzialnego świata straciła rangę idei artystycznej, spadła do poziomu zwykłej rzemieślniczej sprawności.

Zmierzch impresjonizmu oznaczał równocześnie kres wielowiekowej tendencji: trzeba było szukać nowych, zupełnie nowych dróg.

Pragnąc oddać wibrację światła w atmosferze, impresjonizm doszedł do krańcowego rozbicia formy, do zagubienia kształtu przedmiotu. Naturalną reakcją był nawrót do jasnej, czytelnej konstrukcji obrazu.

Pod hasłem „nowego klasycyzmu” zaczął się okres przejściowy. Zaczął się pionierską twórczością dwóch wielkich artystów francuskich: Gauguina i Seurata.

Gauguin obrysowuje przedmiot konturem, zestawia mocne, duże, kontrastowe plamy — wszystko na przekór impresjonizmowi. Nie kopiuje natury — dobiera kolory z zamiarem wywołania w widza pewnych okre-



Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego pod redakcją HENRYKA ANDERSA

ślonych nastrojów, upraszcza formy, chętnie wprowadza motywy symboliczne.

Seurat jest twórcą i wodzem tak zwanego „neoimpresjonizmu”. Z maleńkich różnokolorowych kropek buduje kompozycje, w których przedziwnie godzi brylowość form z efektami świetlnymi i drganiem powietrza. Kierunek dość sztuczny, często bywa postonowany, ale sam Seurat uznany jest słusznie za mistrza.

Spadkobiercami Gauguina w okresie przejściowym mienią się, prawem kaduka zresztą, nabiści czyli prorocy. Mają oni na wystawie kilku przedstawicieli, z których najbardziej reprezentatywny jest Maurycy Denis. Posługując się symbolem, aluzją, przypowieścią; „nabisi” starają się oddziaływać wychowawczo, wpoić społeczeństwu wysokie wartości moralne, szlachetność uczuć, kult piękna. Malarstwo ich wydaje się dzisiaj raczej mdłe — więcej w nim filozofii niż rzetelnej pasji twórczej.

Ostatnią grupę malarzy okresu przejściowego stanowią bezpośredni spadkobiercy impresjonizmu, zwani potocznie postimpresjonistami. Obracając się w kręgach zamożnego mieszczaństwa interesują się przede wszystkim zewnętrzną, trochę powierzchowną urodą życia, traktują świat jako piękne i barwne widowisko. Najwybitniejszy z nich Piotr Bonnard reprezentowany jest na wystawie czterema pracami z różnych okresów twórczości.

Wszystkie wspomniane kierunki — choć odrzucają zasadę bezpośredniego odtwarzania natury — nie zrywają całkowicie z tradycją. Nadal organizują przestrzeń, po dawnemu starają się przekazać własne wrażenia.

bardzo czasem osobiste i zaskakujące, zawsze jednak w jakiś sposób zgodne z prawdą obserwacji.

Dopiero wystąpienie fowistów przynosi radykalną zmianę postawy twórczej. W tym momencie zaczyna się sztuka nowoczesna.

Fowiści, to znaczy dzy — drapieżne zwierzęta. Tak ich obelżywie nazwano, sztuka ich wydała się publiczności dziwaczna i niezrozumiała. Na początku. Później budziła entuzjazm.

Mistrzem kierunku, przywódcą i najbardziej konsekwentnym wyznawcą jest Matisse. Ale obie jego prace na wystawie, zresztą piękne, powstały w innych okresach. Najbardziej może typowe są obrazy Vlaminka i Dufy'ego.

Fowistów niewiele obchodzi wygląd świata, natura nie jest dla nich modelem, jest tylko pretekstem do namalowania ładnego obrazu. Komponują nie scenę, lecz powierzchnię płótna, wzruszenie ma wywoływać nie przedstawiona sytuacja, ale układ kolorów, linii, płaszczyzn. Dlatego sami arbitralnie decydują, jaki kolor nadać przedmiotowi, dlatego łamią klasyczne zasady perspektywy. Robią to zresztą zawsze ze smakiem i kulturą.

Kierunkiem pokrewnym i współczesnym fowizmowi jest ekspresjonizm. Dąży on również do wywoływania silnych emocji, ale raczej przez wybór tematu i przez celową, często brutalną, deformację przedmiotu. Dość rzadki u rdzennych Francuzów, na wystawie reprezentowany jest nadszpiegowaniem obficie. Świętym, wielokrotnie reprodukowany obraz Rouaulta, Mane Ka'z, Soutine — nazwiska mówią same za siebie.

Literatura dla dzieci i młodzieży jest tematem pełnym zalet, bo stosunkowo rzadko poruszonym i zawierającym prawdopodobnie wiele interesujących zakamarków. Gdyby ktoś tak spróbował teraz zrobić przegląd i analizę tej literatury w skali np. krajowej, to z pewnością wnioski byłyby cenne i dla twórców, których czytelnicy wyszli już z wieku młodzieńczego.

Łatwo zauważyć, że dobra literatura dziecięca i młodzieżowa powstaje wtedy i tylko wtedy, kiedy autor traktuje ją serio. Może przy tym rozumieć i oceniać czar konwencji odrębnego światła i podporządkować się jego prawom, może również sam tkwić w tej konwencji.

Rzecz ciekawa, że najłatwiej jest wczuć się w charakter świata dziecięcych wyobrażeń autorom posiadającym dużą dozę humoru. Często przy tym widać przywrócenie oka w stronę ewentualnego dorosłego czytelnika: patrz, tkwić jedną nogą w twoim magazynie pojęć serio, a mimo to potrafię mówić językiem zmini-malizowanym, słówkami, wierszykami, żarcikami.

„Płotka chciała płynąć w zatokę głęboką, Ale ją po drodze połknął głodny okon, Bo gdy głodny okon w rzece rybkę spotka, Potyka nie patrz czy płotka czy szprotka.”

Jest to wyjątek z wierszem opisanych „Przygód Biedronki” Igora Sikiryckiego, które „Przygody” ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. I tu wreszcie trzeba się zdemaskować. Bowiem przyczyna powyższych refleksji jest jak najbardziej lokalna. Otóż niedawno zakończył swój krótki żywot dział literatury dla dzieci i młodzieży Wydawnictwa Łódzkiego. Likwidacja została przeprowadzona przez Ministerstwo w ramach akcji monopolizacyjnej, jako że wydawaniem książek dla dzieci i młodzieży ma się zajmować odtąd tylko „Nasza Księgarnia”. Fama jednak głosi, że dział analogiczny istnieje nadal w ramach „Czytelnika”. A więc chyba mała niekonsekwencja... I gdzie jej uzasadnienie? Ilość wydanych w Łodzi, w roku 1958 pozycji jest co prawda niewielka, niemniej jednak należy się Wydawnictwu rzut oka na jego działalność, oraz... epitafium.

Zacznijmy więc od literatury „najmłodszej”. Wspomniana już książeczka Sikiryckiego zawiera piękne kolorystycznie i pomysłowe ilustracje A. Kotińskiej. Poza „Przygodami Biedronki” wydano jeszcze „Niezwykłą przygodę pana Ogórka” Słobodnika. Widać na tych dwu przykładach, że nie liczone się z kosztami barwnego uatrakcyjnienia tych pełnych wdzięku historyjek. Niebawem ma jeszcze wyjść — ci-ła rozpędu — powieść Zofii Lorentz „Wakacje nad morzem” dla dzieci w wieku od lat 9 do 12.

Tyle o najmłodszych. Dla

dzieci starszych przeznaczona jest „Plama na Złotej Puszczy” Mrówczyńskiego, opowieść o harcerzach, szukających przygód w mazurskich lasach. Problem nie uśmiercił tutaj postaci, co jest niewątpliwie zaletą książki. Nasuwają się jednak przy jej czytaniu inne wątpliwości. Zdaje się, że autor pomieszał konwencję baśni i powieści. Dzieje się tak zresztą w książkach dla dzieci dość często. Dobrych spotyka nagroda, źli zostają ukarani, w roli sprawiedliwego króla występuje pan prokurator.

Jak wiadomo, nieodłączną towarzyszką młodych lat jest powieść indiańska. Na Indian patrzy się wówczas poprzez mit, który ma korzenie w powieściach Coopera (Maya i Mayne-Reida też!). Wartość poznawcza tego mitu jest niewątpliwie znikomą. Walory wychowawcze są rzeczą raczej sporną. Tematyka indiańska jest tylko odskocznią dla wędrowek bujnej fantazji, podobnie jak problemy naukowe w powieściach Vernego. Powieść indiańska reprezentującą w Wydawnictwie Łódzkim dwie książki: „Sprzysiężenie Czarnego Wydry” Nory Szczepańskiej i „Nie bogowie” Sujkowskiego. Książka Nory Szczepańskiej jest antymityczna i na tym polega jej oryginalność. Autorka stanowczo nie daje się uwieść urokom klasycznej powieści indiańskiej i stara się przedstawić możliwie prawdopodobny obraz życia Indian. Zwykle w powieści indiańskiej postać centralną był biały człowiek. Świat Indian oglądano się jego oczami. Szczepańska chciała spojrzeć na Indian inaczej, z ich własnego punktu widzenia. Metoda, niewątpliwie ciekawa, zastosowana została niezbyt konsekwentnie i może dlatego schyłony nad mapą Pontiak robi wrażenie cokolwiek zbyt napoleońskie. Zresztą osoby ważne są w tej powieści tylko ze względu na funkcję jaką spełniają i, ostatecznie, w książce o Indianach nie ma Indianina. Mimo to, wartość poznawcza książki jest niewątpliwa. Szkoda tylko, że ma ona charakter pozaliteracki. Pytanie, jak młodzi młotami wielbiący Karola May'a przyjmą tę książkę? Czasem przecież fikcja przybiera pozór prawdy, a prawda staje się czymś nierealnym. Rzecz dosyć znana. I jeszcze jedno: veto przeciwko okładce. Otoczona bura-

czkowo-czerwonymi piórami fizis Indianina zupełnie nie pasuje do charakteru książki. Druga powieść indiańska — Sujkowskiego (o wyprawie Corteza), ma zalety sensoryjno-rozrywkowe. Fantazji autorowi nie braknie, moral jest nieobecny.

Przyjemne ma się wrażenie, biorąc do ręki książkę znaną i lubianą w młodości. Jest nią dla wielu z nas „Mały lord” Burnetta, po raz pierwszy wydany bez skrótów. Fakt wznowienia tej książki jest naprawdę jak najbardziej godny pochwały. Można natomiast zakwestionować celowość wydania „Czarów Prospera” Lamba. Czy z faktu, że coś wydano dwa razy wynika, że trzeba to wydawać po raz trzeci? Mówiąc po prostu, jest to bryk z Szekspira. Opowieści Lamba byłyby zupełnie nieszkodliwe, gdyby nie możliwość zetknięcia się młodego czytelnika w przyszłości z Szekspirem. Jeśli ktoś w latach dziecięcych wbił sobie do głowy, że „zanim Hamlet wpadł w melancholię, kochał bardzo Ofelię”, może problem Ofelii uważać za raz na zawsze załatwiony. I jak mu potem wytłumaczyć, że to wcale nie było takie proste? Proponuję, żeby jednak poznanie Szekspira zaczynać od Szekspira. „Hamlet” nie nadaje się dla dzieci, które nie powinny wpadać w melancholię.

Z pozostałych działów Wydawnictwa funduszywyjdą jeszcze, oprócz wspomnianej już powieści Zofii Lorentz trzy książki: „Order z księżycą” Bahdaja (ręcz podobno bardzo interesująca, o przygodach łącznika w Tatrach podczas okupacji), oraz dwie powieści: Kings'ona „Tulacz” i „Dwuokrotnie zaginiony”. A więc znów powieści przygody, ze względu na charakter większości wydanych książek (począwszy od „Przygód Biedronki”, a skończywszy na Bahdaju i Kingstone). Świadczy to o dobrych chęciach nienudzenia młodego czytelnika i docenianiu bezużyteczności książek z gatunku mdłych, dydaktycznych czytanek. Naprawdę szkoda, że młodzi entuzjaści Przygody nie otrzymają już od Wydawnictwa Łódzkiego wielu nowych książek.



str 8 odgłosy

Walka z cieniem

(Dokończenie ze str. 7)

A więc to była pałapka — pomyślał Ludwik S. — biec w kierunku Lutomierskiej. Przed nim majaczyły w ciemności sylwetki uciekającego brata i Szczepańskiego. — Jeszcze nic straconego — mruzczał do siebie. — Gliny nie nie widzą w takich ciemnościach i nie wiedzą, w którą stronę uciekamy. Nagle stanął. Na chodniku leżał Szczepański. — Co ty, Mieczek — wstawaj, wjemy!

Tamten milczaco pokręcił głową. Oddychał ciężko. S. próbował go podnieść, ale leciał przez ręce. Uderzył go w twarz, ale widząc bezskuteczność swych wysiłków zabrał teczkę, korkowiec, opróżnił kieszenie kompana z dowodów i pobiegł dalej.

Wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i pojechał na Chojny. Gdy stanął w progu mieszkania rodziców, z którymi mieszkał Tadek z żoną, zrozumiał, że popełnił błąd. Przed nim stało dwóch obcych ludzi.

— Pan do kogo? — padło pytanie.

— Ja, ja chciałem się zobaczyć z Tadcikiem.

— Pan pójdzie ze mną — powiedział jeden z nich. S. nie stawiał oporu.

Pierwszy błąd — nie zrewidowano go, a szkoda, bo znaleziono by przy nim pistolet. To był „Doktor Klops”, ale milicjanci o tym nie wiedzieli.

Drugi błąd — konwojował go jeden milicjant, pieszo, bez skucia kajdankami.

Trzeci błąd — milicjant szedł z lewej strony...

Szli ul. Rzgowską. Dr Klops uważnie obserwował swego „anioła stróża”.

— Pójdziemy do komisariatu, a stamtąd do komendy — mówił ten ostatni. — Jak pan niewinny to zaraz odwieziemy do domu. — Niewinny — myślał S. — Jak pozbyć się „Visa” tkwiącego za pasem? Przechodzili właśnie obok kościoła Przemienienia Pańskiego. Ciemna uliczka kusiała. Na twarz wywiadowcy spada potężne uderzenie pięści. S. rzuca się biegiem w zbawczą ciemność ulicy.

— Stój, stój, bo strzelam — słyszy za sobą, a zaraz potem kłasnęcie wystrzałów. Nie zważa na nic — przed nim pole i gdzieś gdzieś małe domki. Jeszcze kilkaset metrów i można iść normalnie — nikt nie goni.

Na rogu Pryncypalnej i Tuszyńskiej, w małej knajpie Ludwik S. próbował szukać pociechy w wódecie. Jak wybrnąć z tej opresji? Dokąd uciekać? Przypomina sobie ciotkę mieszkającą niedaleko. Tam przenocuję — postanawia.

Ciotka jest zdziwiona późną wizytą, ale czując odór alkoholu porwała przepaść się krewniakowi. Ułożywszy się na kanapie S. nasłuchuje... Potem zasypia. Budzą go głosy w kuchni. Jest jeszcze noc. — Czy u pani nocuje ktoś obcy? — słyszy pytanie, otwierają się drzwi i wchodzi dwóch milicjantów.

— Przyjechałem niedawno z Piotrkowa — odpowiada S.

— Proszę się ubrać — pada rozkaz.

Jeden z milicjantów podchodzi do kanapy i zaczyna ją przeszukiwać. Pod poduszką leży pistolet „Vis”, ostatni nabytek bandy. Rysy milicjantów — dniję — teraz już ma pewność, że ów „kuzyn z Piotrkowa” to nikt inny. Jak pozostający na wolności rabuś sklepowy.

*) Ze względu na to, że większość osób występujących w tym reportażu — odsledziła swoje wyroki i wzięła się do uczelnej pracy — nie ujawniamy ich nazwisk, z wyjątkiem nieżyjącego już Szczepańskiego.

JULIUSZ JANCZUR
HENRYK WALENDA

str. 10 **odgłosu**



KAROL BADZIAK

PUCHATEK — do usług!

Ach! Co to była za dziewczyna! Szkoda, że państwo jej nie widzieli, a może to i lepiej. (Dla mnie). Miała niebieską sukienkę i foliowe oczy. Właściwie to nie wiem czy rzeczywiście niebieską, ale każda ładna dziewczyna w męskiej wyobraźni ma niebieską sukienkę. Taki męski daltonizm, uraz optyczny.

Szła Piotrkowską i nagle skręciła w prawo. Spojrzałem w górę i zanotowałem w pamięci: 42. Radzę też zapamiętać. Chwila wahania i również skręciłem w prawo. Tylko — proszę — bez dwuznacznych uśmiechów. Ja tylko tak okiem artysty... amatora. Niestety, za późno! Dziewczyna zniknęła jak mara, jak sen, a może w ogóle jej nie było? W maju wszystko jest możliwe. Nawet porządkiem reporterowi może się zdarzyć.

Pchnąłem pierwsze lepsze drzwi, buchnęło we mnie młodzieńcym śmiechem i wesółym jazgotem. Znalazłem się wśród studenckiej braci. Okazało się, że to Studencka Spółdzielnia Usługowa o ciepłej nazwie „Puchatek”. A zawsze mówiłem, że nie ma tego złego... no i będzie reportaż.

Jak spod ziemi zjawili się przede mną sam prezes, absolwent ekonomii mgr Grzegorz Podgórski. Czego ja się tam nie dowiedziałem! Po wstępnej wymianie grzecznościowych formułek, w których chytrze zapewniałem, że redakcja naszego tygodnika już od paru lat pilnie śledzi stały rozwój tej ze wszech miar pożytecznej placówki, której donosiło znaczenie gospodarcze znane jest szerokiemu ogółowi, że leży nam na sercu, że popieramy, cenimy itd. Coś tam jeszcze było o aspekcie wychowawczym, a reszty to już nawet nie pamiętam, gdyż przerwał

roki i niczym nieskrepowanymi. W praktyce najpopularniejsze są:

— usługi pedagogiczne: korepetycje, nauka języków obcych itd;

— usługi domowo-porządkowe: sprzątanie, pastowanie podłóg, mycie okien, trzepanie dywanów, opieka nad dziećmi i inne;

— usługi medyczno-pomocnicze: zastrzyki, pielęgnacja chorych;

— usługi prawne — sekcja porad prawnych jest dopiero w stadium organizacji. Łódzki Związek Spółdzielczości Pracy ma w swych planach wycofanie radców prawnych i wtedy usługi te przejdą studentom.

Poza tym istnieją usługi tak zwane: towarzysko-unwersalne. A więc można zamówić sobie czwartego do brydza, partnera na zabawę czy do teatru, na wycieczkę samochodową a nawet na wczasy... zagraniczne.

Pewnego razu dwie młode osiemnastoletnie dziewczynki, których mamusi wyjechały do Warszawy, zgłosiły ofertę na dwóch studentów, gdyż bały się w nocy same spać.

Z innych oryginalnych zgłoszeń spotykanych jeszcze w praktyce studenckich punktów usługowych należy wspomnieć o ofercie telefonicznej pewnej pani proponującej wspólne puszczanie wianków w noc św. Jana. Ale to nie wszystko. Pewien prywatny producent zgłosił zapotrzebowanie na kandydatów i kandydatki do wypróbowania środków... antykonceptyjnych. Znaleźli się nawet chętni, ale okazało się, że nie posiadał koncesji.

A oto cennik najpopularniejszych usług:

Nazwa usługi	m kw. cena
odkurzanie ścian i sufitu	1 0,05 zł
mycie drzwi	1 m kw. 1,85 „
mycie podłogi	„ 0,90 „

pastowanie i froterowanie podłogi „ 1,00 „
trzepanie dyw. „ 2,15 „
wnoszenie węgla na I piętro 1 tona 52,00 zł.

Za roboty brudne do ogólnej sumy dochodzi jeszcze 30 proc. dodatku. Prace nie-normowane czyli nieujęte w cenniku dla mężczyzn wynoszą 8,60 zł na godzinę, dla kobiet 6,15 na godzinę.

Przykład: wyprowadzenie psa na spacer przez studenta będzie kosztować 8,60 zł, za wyprowadzenie tegoż psa na spacer z siuszeniem dochodzi jeszcze 30 proc. za brudną robotę.

Jest rzeczą oczywistą, że całej zarobionej sumy student nie otrzymuje. Obecnie oddaje on na rzecz spółdzielni 30—40 proc. podczas gdy w punktach usługowych znajdujących się dawniej wyłącznie pod auspicjami ZSP oddawano na cele Zrzeszenia 10—15 proc. swojego zarobku. Jak z tego wynika na fuzji ze spółdzielczością studentów konkretnie pracujący stracili 20—25 proc. Jednocześnie zwiększono liczbę etatowych pracowników spoza środowiska studenckiego i stworzono jeszcze jedną instytucję z szerokimi planami produkcyjnymi, nie uwzględniając, a przynajmniej w bardzo małym stopniu uwzględniając specyfiki i charakterystyki środowiska. Podrzedno punkt usługowy służył studentom a obecnie studenci mają służyć spółdzielni.

Po co? Najważniejszym zadaniem studenta na uczelni jest nauka, a nie praca w spółdzielni. Jeśli byłyby jakieś zastrzeżenia w stosunku do punktów usługowych należało postarać się o ich usunięcie, należało zwiększyć kontrolę i opiekę nad nimi, ale nie tworzyć w to miejsce fałszywej instytucji skazanej z góry na fiasko. A co będą robić urzędnicy spółdzielni

w czasie trzymiesięcznej przerwy wakacyjnej i w czasie sesji egzaminacyjnych? Nie wierzę w to, żeby studenci w ciągu całego roku stanowili realną siłę roboczą dla spółdzielni. Studenci to kapryśny naród. Owszem, wyskoczyć od czasu do czasu na 2—3 godziny do pracy, zarobić parę groszy, i z powrotem wrócić do książek.

Należy wyrazić ubolewanie kolegom z „Od nowa”, że w tak istotnej dla studentów sprawie nie zabrali w swoim czasie głosu i przeszli nad tym do porządku dziennego.

Przeglądałem również uwagi klientów w spółdzielni o wykonywanych pracach. Na wszystkich zleceniach notowane są opinie w postaci cenzurek: dobrze, b. dobrze, jak najlepiej. Oj, żeby tak łatwo było dostać piątke z gramatyki opisowej, lub statystycznego jak za wyszorowanie podłogi.

Najczęściej odwiedzają spółdzielnię studenci z UL, PL, AM i WSE. W hallu spotkałem grupkę studentów i przeprowadziłem błyskawiczną ankietę. Na co studenci wydają zarobione pieniądze?

Józef K. — III rok AM — odzież i wyżywienie.

Henryk G. — II rok PL — książki.

Koleżanki Zosia i Marysia ze Studium Nauczycielskiego — autostop w Pieniny.

Jak widać potrzeby raczej niewymyślne, ale bardzo życiowe. Tutaj się lata chude studenckie budżety. Instytucja pracy studentów posiada swoje społeczne uzasadnienie ale nie należało jej nadawać zaraz charakteru spółdzielni usługowej a w dodatku jeszcze produkcyjnej.

Czyżby to był symptom nawrotu do gigantomanii?



Zdjęcia
Andrzeja Kostenko

Ambona satyryka
Kazanie
do
majówkowiczów

Czy wiesz, że ptaki śpiewają? Nie wiesz, że śpiewają. Nie wiesz, bo gdybyś wiedział, tobyś im pozwolił zabrać głos, miast samemu zaznajamiać naturę z całym przedwojennym i powojennym repertuarem przywoitych i nieprzywoitych szlagierów, od „Szesnaście lat gdy miałem, kobietki fest kochałem” i „O, przepraszam, panie Włodek” zaczawszy, a na „Titina, ach, Titina” i „Balu murzynów” skończywszy.

Czy wiesz, że rośliny żyją? Nie wiesz... Nie wiesz, bo gdybyś to wiedział, tobyś nie skraciał im życia deptaniem ich ciał, nie obskubywałbyś kwiatników, nie łamałbyś ozdobnych i niezdobnych krzewów, nie zwoził gąsienic z podmiejskich lasów, gąsienic i krzewów do domu, aby sycić swe okrutne oko ich powolnym konaniem w flakonach, butelkach po mleku i piwie, w miednicach, cebrzykach, słoikach po muszardzie i ogórkach.

Czy wiesz, że kobieta jest kwiatem? Nie wiesz, że kobieta jest kwiatem... Nie wiesz, bo gdybyś wiedział, tobyś kwiatom nie odrzynał głów i nie wsadzał ich do naczyn, zdobitych twe komody, „nad-kastilki”, „trema” lub szafy.

Czy wiesz, że drzewo usycha? Nie wiesz, że drzewo usycha. Nie wiesz, bo gdybyś wiedział, tobyś nie wycinał na jego korze nazwy bardzo ważnej dla ciebie części ciała.

Czy wiesz, że nie będziesz gotował zupy grzybowej na majówce? Nie wiesz. Nie wiesz, bo gdybyś wiedział, tobyś pozostawił własnemu losowi przepiękne maślaki lub kozaki, a nie wyrwał wraz z grzybnia i kruszył ku wielkiemu własnemu zadowoleniu i obnażonych dam.

Czy wiesz, że nie jesteś pięknie zbudowany(wana)? Nie wiesz. Nie wiesz, bo gdybyś wiedział(a) tobyś nie wybierał(a) najbardziej widocznych miejsc na polanach i przy ścieżkach, aby ukazać swe włości, niekwestne cielsko w obwisłym kostiumie kąpielowym, lecz pozostawiłbyś(labyś) je w domu w szlafroku lub pyjampie.

Czy wiesz, że powyższe sło-

CHAVAL we WŁOSZECH



„Zobaczyć Neapol — i umrzeć...”

Gatunek reportażu rysunkowego, który królował niepodzielnie jeszcze w prasie z początku XX wieku, wypierany stopniowo przez coraz doskonalszą technikę fotografii, przeżył swój ostateczny upadek po ostatniej wojnie. Wyjątkowo tylko możemy spotkać rysowane relacje z podróży i zdarzeń: wszedłabyś kamera fotoreporterska pracuje sprawniej i szybciej.

Istnieją jednak graficy, którzy wcale nie mają ochoty poddać się. Tak sławni karykaturzyści, jak Saul Steinberg (USA) i Ronald Searle (Anglia) — chętnie uprawiają reportaż rysunkowy, ba, odnoszą w tym gatunku niemałe sukcesy. Wystarczy wspomnieć steinbergowski cykl szkiców z podróży do ZSRR...

Znakomity humorysta francuski, Chaval, też postanowił spróbować sił w reportażu, namówiony przez redaktora „Paris Match” — wybrał się w tym celu do Włoch. Rezultat był raczej niespodziewany.

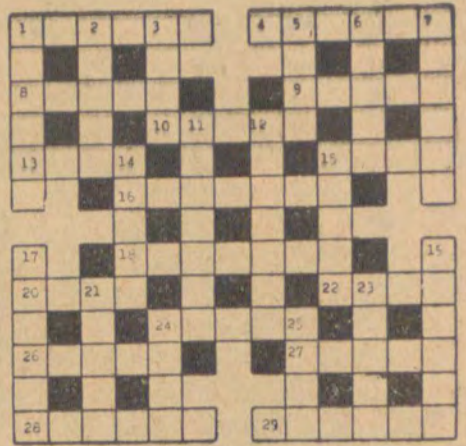
To, co przywiózł Chaval ze swej podróży, na pewno nie jest reportażem. Za mało tu realiów, łapanych na gorąco zdarzeń, za mało autentycznych portretów. Powstała natomiast seria zryskowych żartów o Włoszech — i zagranicznych turystach w tym kraju.

Pejzaż, zabytki i ludzie słonecznej Italii zainteresowały Chavala o tyle tylko, o ile stwarzali pretekst do powiedzenia jakiegoś dowcipu. I nieważne stały się wobec tego realia, wszelkie pozory autentyzmu; i krzywa wieża w Pizie nagle się wyprostowała, a turysta w Neapolu wprowadził w czyn znane porzekadło...

Dziwna i zabawna przygodę przeżył Chaval we Włoszech: reportaż nie wyszedł, ale żarty udały się znakomicie. Urodzony humorysta nie dopuścił do głosu reportera.

J-crt.

Nasza krzyżówka



Znaczenie wyrazów:

Pozioło: — 1) Mebel, 4) Taniec, 8) Posłannictwo, 9) Fufro kuny, 10) Czapka ulana, 13) Mija bezpowrotnie, 15) Kolor w kartach, 16) Utwór muzyczny, 18) Rumak, 20) Pogoda, 22) Ptak północny, 24) Straż lub rzeka, 26) Stopień, 27) Worek, 28) Radiowy, telefoniczny, rentgenowski, 29) Skala ośmiu tonów.

Pionowo — 1) Choroba nerek, 2) Zaglebienie w ścianie, rodzaj alkowy, 3) Miejsce pod budowę domu, 5) Samochód, 6) Taniec, 7) Członek honorowej straży przy najwyższych dostojnikach w starożytnym Rzymie, 11) Rosyjskie imię żeńskie, 12) Instrument muzyczny, 14) Firma samochodu, 15) Walet, król, dama, 17) Pół, 19) Letni kapelusz z ciaw, ul. Podwałe 40, D.S. wólkien palmy, 21) Symbol W.S.W.F.

zdrowia, 23) Poczwarka owadu, 24) Naczynie do płynnych potraw, 25) Natarcie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 17.

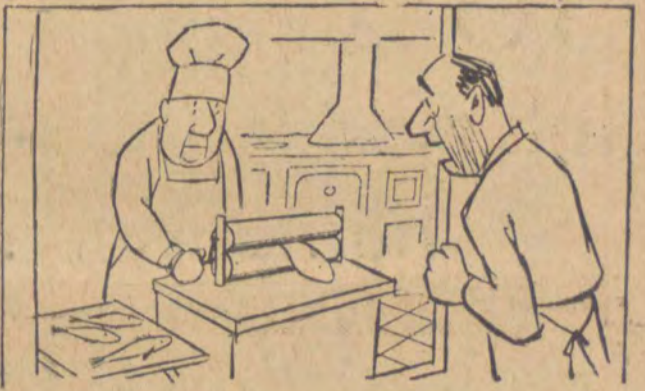
Pozioło — gwasz, gont, perz, jan, ospa, azot, rydz, tama, szlak, polano, amator, numer, rapcie, teczka, torba, o-
pos, Anna, szal, lama, ale, wrak, róża, zagon.

Pionowo — wolecz, sonata, gwar, tusz, plot, zima, Odra, tara, opera, sonet, lemur, kar-ta, areal, lep, tuz, cios, cyna, ogląda, bolero, otów, szyk, A-
mor, aura.

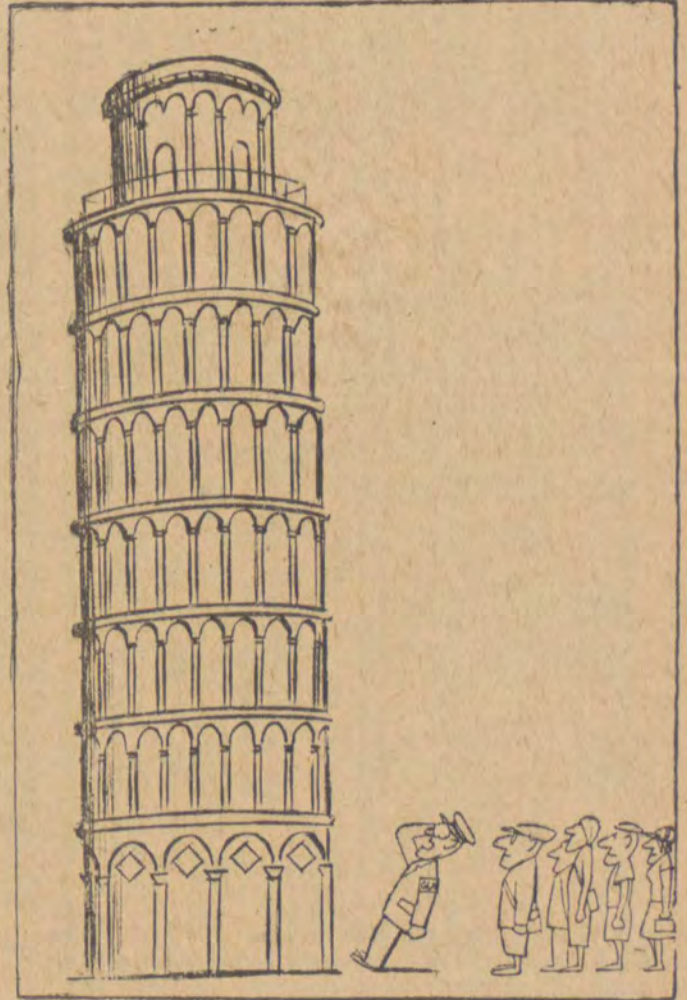
Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Stanisław Tosiek, Łódź, ul. Danilowskiego 7, m. 16.

2. Bolesław Werner, Wrocław, ul. Podwałe 40, D.S.



— Szybko, gość czeka na te fiadry!..



Miejszani

Pod redakcją Jana Huszczy

Skrzynka uczciwości

Ten kolejny felietonik „Mieszani” miał być poświęcony wiosnie, wczasom i niedziel-
nym wypadom za miasto. Chciałem w nim uwzględnić białe świeczki kwitnących kasztanów i liliiwce okiście bżów, Lagiewniki i Tuszyn — Las, Karpacz i Mikolajki, łódki na rzekach i ławeczki w parkach, konwalie i tulipany, czarnowłose Zosie i Inianowłose Jadwigi, słowiki i elektryczne gramofony, skutecznie z nimi konkurujące.

Ale oto wybrałem się do popularnego w naszym mieście Klubu Kaszki i Prasy, żeby zapatrzeć się w gazety i tygodniki. Do niedawna dwojako można było w nie zapatrzeć się: za pośrednictwem wypisanego przez sprzedawcę czynnika paragonu i kasy, oraz za pośrednictwem drewnianej, skromnej „skrzynki uczciwości”. Co do tej ostatniej, klient wybierał interesujące go piśmie, w myśli szybko obliczał nieudaną do obliczenia należność, wyjmował z kieszeni ezy portfelu odpowiednią ilość bilonu i — przez nikogo nie kontrolowany, szlachetnie zdany na własne sumienie — wrzucał ją do skrzynki, potem

wa odnoszą się do ciebie? Nie wiesz. Nie wiesz, bo gdybyś wiedział, tobyś pozostał w domu przy radiu, kartach i moczeniu nóg, a nie zabierał z sobą koców, jaśków i zajmował miejsce w tramwajach i kolejach podmiejskich po to, aby po powrocie z ma-

jówki kłać na mrówki, komary, brak powodzenia u onażonych kobiet i chęć się jednym znalezionym prawdziwkiem, który oczywiście nie jest nikim innym, lecz najwycyphniejszym w świecie psim grzybem. Amen.
ZYGMUNT FIJAS

zlekceważyć, naruszając porządek i wywołując spory.

W zeszłym roku urlop swój (niech jednak wspomnę o urlopach) spędziłem w Rymanowie Zdroju. Z pięknego parku zdrojowego korzystali zarówno dorośli, jak i dzieci. Przeważały, i to w sposób zdecydowany, dzieci. Po tymże parku — wbrew zakazom i znakom ostrzegawczym — stałe grasowały prywatne samochody i motocykle. Właściciele pojazdów mechanicznych roz-zuchwalali w dodatku pełną zdeteminowaną stanowczo-
ści nieobecność milicji.

Ach, po co się zresztą rozgoryczać, i tak zdajemy sobie dokładnie z tego wszystkiego sprawę! Włóczymy już, bo przecież wiosna, psiakrów; słowiki, psiakrów; bzy i kasztany, psiakrów; Lagiewniki i Mikolajki, psiakrów; Zosie i Jadwigi, psiakrów; Zdzisie i Heńki, psiakrów!!!

KALIKST LASICZKA

Wyjdę ja...

(Z puścizny poetycznej)

Wyjdę ja z rana,
gdy błysną zorze,
może cokolwiek
mi to pomoże...

Pójdę, gdzie lipy
w srebrzystej rosie,
siądę na ławce,
podlubię w nosie...

Może mi urok
da to zakątka,
że jakoś przejdzie
rozstrój żołądka.

Rozstrój żołądka
od tych poziomek,
co mi je wczoraj
przyniósł mój ziomek.

O, miły ziomeku,
twoje jagódki
przez noc ganiały
mnie do wygodki!

O, piękny kraju,
kwieciste łąki,
czyżby czas nadszedł
naszej rozłąki?

Czyżbym pożegnać
miał ja swój domek
przez ten przekleśły
koszyk poziomek?...

Wyjdę ja z rana,
gdy błysną zorze,
może cokolwiek
mi to pomoże...

Przegląd prasy

Frywolność i pikanteria naszych dziadków — a mamy na myśli te ujawniane w druku — wyglądała zupełnie inaczej, niż frywolność we współczesnej prasie polskiej. Ze względu na wiosnę, przytaczamy z „Piłki” z 1966 roku wierszyk pod tytułem: „W zielone”...

Więc dobrze! Zagramy w „zielone”...
Lecz o co?... Daremna pokusa!
Dzisiaj dla mnie, jak w czasy minione,
za mało, dziewczyno, całusa...

Zagramy... Mam pomysł
Samego całusa za mało...
Gdy przegram — to oddam się cały
A wygram — to wezmę cię całą!

Redaguje Zespół C Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-78. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. C Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, Histonosze oraz PUPK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 13. Konto PKO — Łódź 1 - 4-576 i zaliczeniem na „Kasy”. Druk w „Prasie” — Łódź, Zwirki 17. 2 1838 V. 55 S-9



Kierowca

mimo woli

P. Stanisław Jędrzyka, autor filmu eksperymentalnego pt. „Stan-dion” — wygrał niespodziewanie w ostatnim losowaniu książeczek PKO — samochód marki „Zwickau”, typ „P-70” koloru zielonego. P. Jędrzyka pilnie uczeszcza na kurs i rychło zasiądzie za kierownicą. Warto przy okazji zauważyć, że byłbyśmy świadkami, jak kierowcy z PKO podnieśli rzę-czone „P-70” za karterem (czego nie powinni czynić) a potem pus-cili na rozkaz swojego dyrektora wszystkie wylosowane wozy w wielokilometrowy spacer rekla-mowy po ulicy Piotrkowskiej. Wo-zy były oczywiście niedotarte, spa-cer odbywał się na I biegu i wy-sokich obrotach silnika. W rezul-tacie na placu Komuny Paryskiej, gdzie nastąpić miał ostatni akt improwizacji — wylosowana przez ko-gos „Syrenkę” pospiesznie pole-wano wodą.

Jawności!

Dowiedzieliśmy się z obszernych relacji zamieszczonych przez prasę, że p. Twardowski, reżyser dubbingu — opracowuje ze swym zespołem film o Francisie, mule który mówi. Bardzo nam niemiło, że mł. Francis będzie mówił po polsku, ponieważ w dzielonym ostatnio „Riffif”, film popularyzator warszawskie stu-dio, Ale „Riffif” znajdujemy na ekranie w opracowaniu anonimowym, a w przypadku Francisca będącym przynajmniej wiedziami do kogo mieć pretensję. Dobre i to.



Na łamach polskiej prasy króluje temat filmowy nr 1: wizyta Guilty Masiny. Ma-luczko, a każde pismo będzie już miało swój własny reportaż z planu zdjęciowego, opatrzony zdjęciami.



Teoria filmo-kanantu

EDWARD ETLER

Czym się różni najbanalniejszy, zwykły, codzienny kan-t od Szana, Filmokanantu, czyli kanantu dokonanego w ma-jętnościach X Miury? Czyżby jedynie tym, że ka-żdeżdy wydarzenie, pochodzące z łączki filmowej, niezadługo — przy udziale tzw. własności magnetycznych kinematografu — staje się własnością opinii publicznej? Pies z kłuwą nogą nie dowie się o kanale mającym miej-sce w fabryce cynfolii, albo też wywrotni spinaczy bu-trowych i drutu. Co najwyższej kolega dżennaharz z gazo-ty codziennej zarobi 25 złotych na parowozowej wzmian-ce. Ale tutaj zagrała WFF — Wytwórnia Filmów Fa-bularnych. Podpora rodzinnej kinematografii i chluba mi-a-sia.

Historia obsega Polskę opowiadana w wersji dwajakiel. Obie wersje, równie zresztą zabawne, mówią o atezce In-tanta dziny w dachu. Dziny nie były jakiejś filmowej dziny. Seisloj: dziny w dachu pokręcającym łódźka Wy-twórnie Filmów Fabularnych, hale zdjęciowe i schronie-nie artystów.

Wedle pierwszej wersji zgłosiło się do Wytwórni face-tów paru i wskazało na istniejącą dzinę, a potem ci-sami, łaskawie, za mały milion złotych zezwolił się ja tr-cho zalać. A według wersji drugiej dzinę odkrył inny, — zające — znaleźli w trybie późniejszym, — trudności nawię i kłopotem. W każdym razie obydwie

wersje zgodne są co do tego, że fachowców najęto i rze-rony milion im wzięto za wykonanie pracy. Bo i pra-cownicy uczędnili. Chodzili w piuchę po słiskich dachach WFF, tu popukali młotkiem, tam postukali, gdzieś coś przykuli, a gdzieś iść iść iść, tak komuniste pozostawiając jednak nazwiska, rachunki i adresy. Działki temu zamieszkuje aktualnie wizerunek, a nie np. Rybicki wzięliście Coie Dżazur, dokąd — mając 6w milion, a ko-tryzając z ubieg Orhisan — wybrać się raczej nieurudno.

A co do filmu naprawy, to był on nieunikniony. Po ni-lionach depozytów jeszcze po dachu różnorodnie Komisje, najęci rzeczoznawcy ze stolicy i odnośny p. Prokurator takte. Oczekowano wreszcie, że robota została odłożona szankonie. Ani po dziesięć, ani po naprawie nie zostało siadki. Tylko po milionie pozostał ślad, choć nikt nie po-trzał powiedzieć, czy się udało go wyekszkować z po-wrotnem.

Powstała ona, że zawieranie akcji jest w tym wypadku najzupełniej obojętne. Mogli „fachowcy” się sami napa-terować, albo i mogli zostać przez kores obrotowego naped-terca zakłada natomiast, że wykonawcy, wbrew przyję-temu mniemaniu bynajmniej nie zostali milionerami, albo-wiem akt naprawy miał przebieg bardecki skomplikowany.

Ala, jest także wersja trzecia przytoczonej opowieści. Powstała ona, że zawieranie akcji jest w tym wypadku najzupełniej obojętne. Mogli „fachowcy” się sami napa-terować, albo i mogli zostać przez kores obrotowego naped-terca zakłada natomiast, że wykonawcy, wbrew przyję-temu mniemaniu bynajmniej nie zostali milionerami, albo-wiem akt naprawy miał przebieg bardecki skomplikowany.



A. J. PIOTROWSKI

Zmysły ludzi nudnych

Nie znany nam bliżej L. Buk zamieszcil w programie kinowym esej o filmie Viscontiego „Zmysły”. Mieszając na przemian streszczenie filmu, opowiedziane dość niedolnymi słowami *) z prógą oceny filmu, pisze „L. Buk” o „Zmysłach” jakby to był obraz najwyższego artystycznego forma-tu. Tymczasem dzieło Viscontiego może być pomocą naukową dla studentów Szkoły Filmowej. Moż-na na jego przykładzie pokazy-wać, jak nie należy robić filmów. Są bowiem „Zmysły” utrzymane w najgorszym guście, charaktery-stycznym dla przedwojennych iez-nych poszukiwań włoskiej szkoły.

„Zmysły” — to nie dramat, jak-by chciał reżyser, ale opera ko-miczna, smieszna w partiach, gdzie to nie było zamierzone i nie-znosa. Papietowa młodość zgrab-nej Alidy Valli (aktorowi w typie... Marij Schell) do polkretymwaite-go odcieca (Farley Granger) in-teresy przez pierwszych piętnaś-cie minut, gdy widz liczy jeszcze na coś atrakcyjnego. Gdy jed-nak okazuje się, że Visconti po-każuje pocatunki w dalekich pla-nach, a w chwilaach nagłych de-czyzi daje podmiotą, pełną akor-dów, kęte operową muzykę — widownia ziewa. I bądźmy szcze-rzy — ma do tego prawo...



„L. Buk” zachwyca się faktem, że cenzura włoska nie wyzięła sceny, przedstawiającej porażkę pod Caporetto. Nie dziwnego! Smieszny, kolorowy obrazek, oblo-



czki, gonitwy na koniach i strze-lanina, gdy nie wiadomo kto z kim i po co walczy — to nie obraz bitwy, pretendujący do wy-objęcia. Powstałby co chwila przybiegają, by powiadomić hra-binę o swych porażkach, planach i sukcesach, a wszystko jest nie-znosne, fałszywe, i nieprywalie nu-dne. Dowcipny „L. Buk”, najęty przez CWF dla pisania progra-mów dezorientujących widza, koń-czy program stwierdzeniem, że „Zmysły” być może uchodzić bę-dą za najdłuższe dzieło Viscon-tiego, który m.in. „Ziemia dzicy” (...). „Zmysły” są być może kon-

cowym kanieniem granicznym neorealizmu, po którym włoska kinematografia zaczęła sobie szu-kać innych kierunków, jeszcze nie wykrystalizowanych i nie naz-wanych!

*) Np. „Wskutek utarczki słow-nej między patriotą margrabią Ussoni a oficerem austriackim Mahlerem ma dojść do pojedyń-ku. Kuzynka Ussoniego, hrabina Serpiet postanawia interwenio-wać na rzecz swojego krewnego... ale interwencja okazuje się zdy-teczna, gdyż Mahler nie ma naj-mniejszej ochoty pojedynkować się. Mimo tak jawnego dowodu tehotrostwa hrabina zakochuje się w oficerze, który jest bardecki postawny i przystojny niż... od-ważny”.

Między, K... FILMOWA

B. B.

